

Mielno wygrywa  
z atomem

Ameryka rządzi,  
bo wierzy

Olgi Tokarczuk  
świat wymarzony

Barbarzyńca  
robi teatr

**PRZE  
KROJ**

# Emeryturami w kobiety i dzieci

NR 8 (71) / 20 LUTEGO 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT



25  
24

ISSN 0033-4888

BO  
>

OFF<sup>plus</sup> & camERA prezentuje  
**bierzcie i kręćcie**

# zbierz ekipę i nakręć film



wygraj:  
**3x3000\$**

weekend w Krakowie

[www.idfilm.pl](http://www.idfilm.pl)



plus  
**Ty plus festival**

allegro  
**Short Film**

tvn 24  
**Relacja z wydarzenia**

## PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

### "Przekrój" w sieci

OLAF SZEWZYK

Sierzenie! Atakuj! – krzyk mł. aktywisty Czeresiaka z drugiego plutonu z trudem przebił się przez huk eksplodujących rakiet klasy Deus Irae. Słowa były zbędne, Stasiak Brontozaur już widział nadbiegających szturmowców. Z lewej flanki dobiegało charakterystyczne szczekanie czubaszki, ulubionego erkaemu towarzyszek z Brygady im. Margaret Sanger, co oznaczało, że takiś próbuje otoczyć wysuniętą placówkę niestów na rogu Kruczej i Wilczej. Mimo trzydniowego ostrzału ich pozycji haubicami Dawkins H8 zachowali siły na kontratak! Stasiak z nostalgią wspominał czasy, gdy wojna ideologiczna prowadzona była metodami konwencjonalnymi: za pomocą przekonywania i populistycznej propagandy. Gdzieś w połowie XXI w., wraz z rozwojem biochemii i genetyki, opracowano metody inwazyjnej ingerencji w umysł skuteczniejsze od argumentów i chwytów erystycznych. I wtedy zaczął się wyścig zbrojeń. Najpierw strzelano z fuzji na strzykawki, którymi weterynarze usypiali zwierzęta. Po iniekcji następowały pożądane zmiany w mózgu owocujące konwersją ideowego wroga w żarliwego współwyznawcę. Później udoskonalono metody pozyskiwania konwertytów. Broń masowego rażenia – gazową i wirusową – stosowały bez oporów obie strony. – Słodki Jezu! – westchnął ktoś z trwogą po eksplozji dwutonowej archaniołówki tuż obok. Widać maska przeciwgazowa była mieszczelna i uległ skażeniu! – pomyślał Stasiak, obezwładniając bredaka. Nagle ostrzał ucichł, rozbłysła flara. Zawieszenie broni. Gdzieś wykryto mieszaińców – odpornych na konwersję, myślących po swojemu. Tych i nieiści, i takiś zgodnie poddawali eutanazji. Więcej o Staśku na Twitterze, G+, [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), w tabelowych edycjach „Przekroju”.

# W TYM TYGODNIU

### NIE PISZEMY O TYM...

... że UE przygotowuje projekt ograniczenia liczby punktów sprzedaży alkoholu w krajach wspólnoty do sklepów prywatnych, usytuowanych na obrzeżach miast i działających tylko przez kilka godzin dziennie. Poczekamy, aż okaże się, że tylko wojna o wódkę jest w stanie uruchomić drzemającą w społeczności moc.

... że podczas posiedzenia połączonych komisji sejmowych doszło do „niszczenia mienia sejmowego” w trakcie ekspresyjnego, nieregularnego wystąpienia posłanki Elżbiety Kruk (PiS) w sprawie nieprzyznania Telewizji Trwam koncesji na naziemne nadawanie cyfrowe.

... że 140 kapelanów wojskowych zarabia po 8 tys. miesięcznie. Bo jest wśród nich aż 20 pułkowników. Więc samo się rozumie.

... że – jak doniosły media – podczas lotu z Warszawy do Pragi zmarł pilot, a samolot mimo wszystko wylądował bez problemów. Było dla nas oczywiste, że leciał też jakiś żywy pilot.

... że kra i cofka sprawiły, iż do Świnoujścia można się dostać wyłącznie od strony Niemiec. Dobrze, że nie przez Rosję.

... że premie dla menedżerów odpowiadających za budowę Stadionu Narodowego są za duże

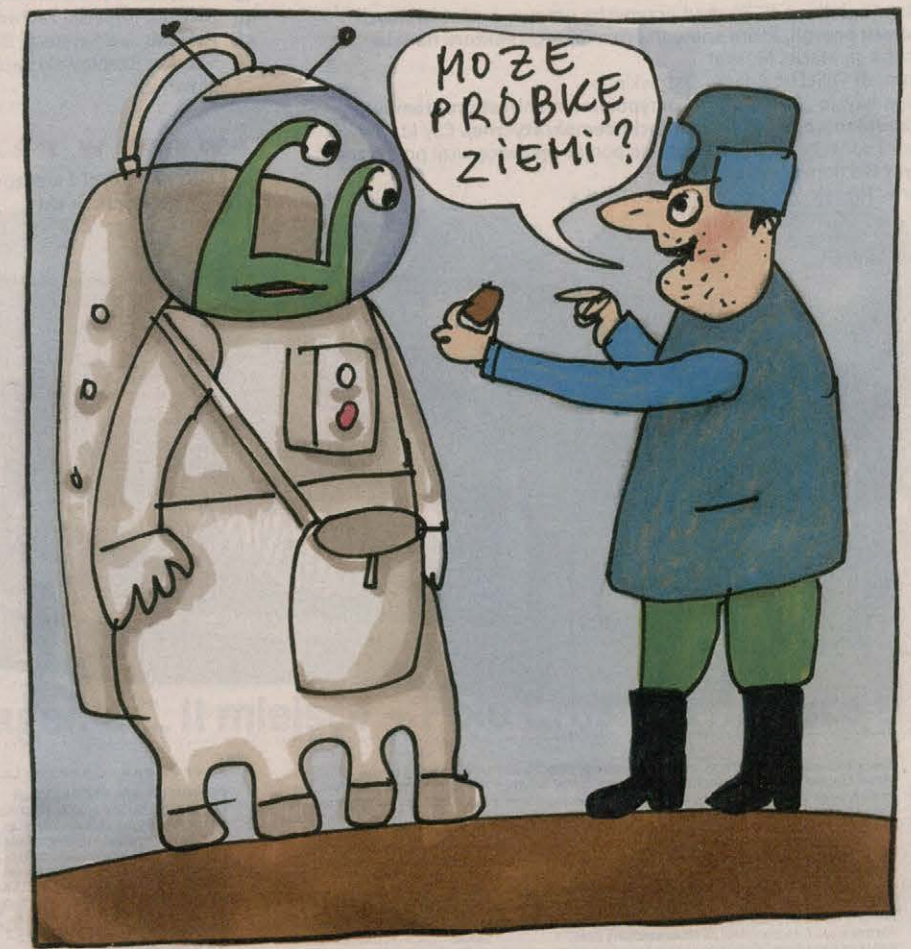
albo za małe, albo nie na temat, albo zasłużone, albo niezasłużone, należne, albo nienależne. Bo cały ten stadion jest jednym wielkim nieporozumieniem.

... że w lutym spadł śnieg. I to z góry.

... kto i jak się pastwi nad posłanką Joanną Muchą. Albo jak jest zdeterminowany, żeby musieć podzielić się uwagami na temat jej wyglądu.

... że Piotr Adamczyk, czyli Karol Wojtyła, czyli Jan Paweł II, zagra teraz hitlerowca w Klossie reaktywacji. I to z wężem. Tego powinni zabronić.

### MAREK RACZKOWSKI



### LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

W jakim wieku przejść na emeryturę? Według rządu najlepiej w XXII wieku.

## PRZEDE WSZYSTKIM

- 6 **Czas na poważną rozmowę o emeryturach.** Długość pracy nie jest najistotniejszą zmienną – pisze Elżbieta Korolczuk
- 8 **Rząd chce, żebyśmy pracowali dłużej, bo inaczej nie będzie pieniędzy na emerytury.** A może minimalną emeryturę powinien otrzymywać każdy obywatel – niezależnie od tego, czy kiedykolwiek płacił składki? O emeryturach obywatelskich Łukasz Wójcik
- 10 **Czy ruch Occupy zmusi Baracka Obamę do radykalnych reform?** Czy lewica potrzebuje Boga, bo religia okazała się nieśmiertelna? Z amerykańskim filozofem Michaeliem Walzerem rozmawia Sławomir Sierakowski
- 14 **Czy zachodni świat powinien zbrojnie obalić prezydenta Syrii Baszara al-Asada?** Czy taka interwencja może być skuteczna? Czy byłaby moralnie uzasadniona? – kłócą się Zbigniew Marcin Kowalewski, Klaus Bachmann, Stefan Zgliczyński i Łukasz Wójcik
- 18 **Związki partnerskie są dla niektórych nie do przyjęcia, gdyż kojarzą się im z seksem gejowskim i adopcją dzieci.** To dość dziwne powiązanie, ale trudno je zmienić. Dlatego Kazimierz Bem i Jarosław Makowski proponują „partnerstwo domowe”
- 20 **W trzy miesiące mieszkańcy gminy Mielnio zbudowali ruch społeczny, który wygrał pierwsze w Polsce antyatombowe referendum** – pisze Radosław Sawicki
- 21 **Jak do tego doszło, że w Mielnie Dawid pokonał Goliata** – zastanawia się Agnieszka Grzybek
- 22 **Jeśli nie dojdzie do radykalnych zmian w unijnym rybołówstwie, nasze wnuki nie poznają smaku ryb z europejskich mórz** – tekst Macieja Jarkowca
- 24 **Pośród zgłębku o ACTA rząd przepycha ustawę o odnawialnych źródłach energii, która spowolni rozwój tego sektora na lata** – ostrzega Maciej Muskat
- 25 **Naprzód!** Felieton Adama Ostolskiego
- 26 **Druga edycja „Polski 2030” przypomina manifest programowy zachodnioeuropejskiej partii socjaldemokratycznej.** Czy któraś z partii opozycyjnych jest w stanie podjąć rękawicę wizji politycznej? – pyta Bartłomiej Kozek
- 29 **Czarny Piątek** – felieton Tomasza Piątki

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 **Kochaliśmy go jak wiernego psa, obdarzaliśmy przyjaźnią niczym szkolnego koleżę.** Dziś, gdy stuknęła mu trzydziestka, wciąż wzbudza czułość. Bez Commodore 64 nie tylko historia informatyki byłaby uboższa. Straciłaby na tym cała popkultura – pisze Paweł Franczak
- 33 **Też Pytanie!**

## KONIEC Z KULTURĄ

- 34 **Czy możliwy jest świat, w którym nie ma mowy o zabijaniu i zjadaniu? W którym nie ma rywalizacji, agresji?** To Hebertopia, kraina wymyślona przez Olgę Tokarczuk na potrzeby nowej książki „Moment niedźwiedzia”. U nas jej fragmenty
- 39 **Po śmierci Heatha Ledgera nie było nikogo, kto objąłby po nim schedę pokoleniowego idola.** Teraz kandydatów jest aż dwóch – o Michaelu Fassbenderze i Ryanie Goslingu Wojtek Kałużyński
- 40 **Nazywa się Michał Kmiecik i zamierza przenieść nasz teatr** Z dzieckiem Internetu, przedstawicielem smutnego pokolenia umów śmieciowych (jak sam o sobie mówi młody reżyser) spotkał się Jacek Tomczuk

## RECENZJE I ZAPOWIEDZI

- 42 **Film:** Pietrzak poleca „Wstyd”...
- 43 **Muzyka:** ... Skolimowski Lambchop. Bo wspaniale smutny
- 44 **Książki:** Kępiński zachwycił się Ziomeckim...
- 46 **Książki:** ... a Sendecki Białoszewskim
- 48 **Sztuka:** Szablowski zaprasza na wernisaż. Z EVA i ADELE w rolach głównych

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49-50 **Rozmaitości** z krzyżówką i Lewomyślnie Kurkiewiczza
- 3, 4, 33, 50 **Raczkowski**

## MAREK RACZKOWSKI



**PRZEKROJ**

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), e-mail: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl) lub [imie.nazwisko@przekroj.pl](mailto:imie.nazwisko@przekroj.pl)  
**REDAGUJE ZESPÓŁ:** Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Piotr Witek, Maria Świętik, Weronika Kostyrko, Katarzyna Czarnačka **PRZEDE WSZYSTKIM:** wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott **CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk; stale współpracuje Paweł Franczak **KONIEC Z KULTURĄ:** kultura@przekroj.pl, Jacek Tomczuk; stale współpracują Jacek Wakar, Marcin Sendecki, Karolina Pasternak, Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski, Anna Gromnicka **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Andrzej Figatowski **FOTODYSCJA:** foto@przekroj.pl, **KOREKTA:** Ling Brett  
**PROJEKT GRAFICZNY:** Kasper Skirgajło-Krajewski **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Bogumiła Kreczmańska, Wanda Wójcik, Tomasz Kieras, Tomasz Rojek **STRONA INTERNETOWA I IPAD:** Marcin Cichoński, Renata Wróbel

### PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

**PRENUMERATA REDAKCYJNA**  
 Cena prenumeraty 2012 r.: Roczna: **166,40 zł**, półroczna: **83,20 zł**, kwartalna: **41,60 zł**  
 Zamówienie na prenumeratę należy składać:  
 e-mailem: [prenumerata@przekroj.pl](mailto:prenumerata@przekroj.pl) lub faxem: 22 621 22 61.  
 Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195  
**PRENUMERATA KOLPORTERSKA**  
 oddziały Ruch SA, [www.prenumerata.ruch.com.pl](http://www.prenumerata.ruch.com.pl), urzędy pocztowe  
**PRENUMERATA e-WYDANIA**  
[www.egazety.pl](http://www.egazety.pl)  
**PRENUMERATA ZAGRANICZNA**  
 Ruch SA [www.ruch.pol.pl](http://www.ruch.pol.pl); 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

### DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – **3,69 zł**, kwartalny – **30,75 zł**; roczny (z rabatem 30 proc.) – **99 zł**. Do wykupienia na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w App Store. Informacje: [wsparcie@przekroj.pl](mailto:wsparcie@przekroj.pl)



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótków w nadesłanych artykułach i listach.



## Parkiet Challenge 2012

VII edycja Mistrzostw Polski Inwestorów Giełdowych



## Do wygrania 6 samochodów

I miejsce – Volkswagen CC, II miejsce – Polo Cross, III miejsce – up!

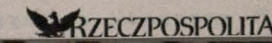
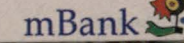
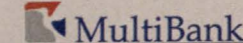
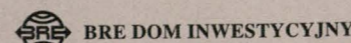
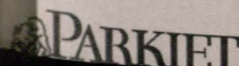
Zapisy do 29.02.2012, Finał: 30.04.2012  
 regulamin i rejestracja na [www.mistrzostwa.parkiet.com](http://www.mistrzostwa.parkiet.com)

Organizator

Partner strategiczny

Partnerzy

Patron medialny





# Budżet załatają kobietami

## Czas na poważną rozmowę o emeryturach. Długość pracy nie jest najistotniejszą zmienną

ELŻBIETA KOROLCZUK

Niemal wszyscy specjaliści, których opinie znajdziemy w mediach, nie mają wątpliwości: wiek emerytalny trzeba podnieść i wyrównać. Bo budżet, bo kryzys, bo demografia, bo inni już to zrobili. Główny argument, za pomocą którego PO chce przekonać kobiety do reformy, brzmi: robimy to dla was, drogie panie! Byście nie miały za kilka lat głodowych emerytur!

Niestety, Polki nie chcą prezentu – według sondaży około 80 proc. z nich mówi podwyższaniu wieku emerytalnego stanowczo „nie”. Politycy i media nie mogą się temu nadziwić: może kobiety w Polsce są jednak leniwe? Może tkwią mentalnie w epoce PRL i nie rozumieją, że nadchodzi kryzys demograficzny? A może nie potrafią liczyć i sądzą, że „jakoś to będzie”?

Tymczasem Polki czują, że rząd chce łątać kolejną dziurę – tym razem w ZUS – ich kosztem, niewiele lub zgoła nic nie oferując w zamian. Mantra, którą powtarzają politycy i większość ekspertów, brzmi: dłużej żyjemy, a dzieci rodzi się coraz mniej. To prawda. Tyle że wizja dziejowej konieczności nikogo nie przekona.

Mnie nie przekonuje na pewno, bo poza postulatem wydłużenia czasu pracy nie widzę żadnej długofalowej wizji polityki społecznej. Ba, nie ma nawet debaty, w której mogłyby wziąć udział wszystkie zainteresowane strony, bo przeprowadzanie badań opinii publicznej taką debatą nie jest.

Na to, jaką będę miała emeryturę za 30 czy 40 lat, wpływa przecież nie tylko czas pracy, ale też wykonywany zawód, wysokość płacy, czas spędzony na urlopie macierzyńskim i wychowawczym, realna możliwość awansu, dostęp do instytucjonalnych form opieki nad dziećmi i osobami zależnymi, obciążenie pracą domową. A przede wszystkim to, czy w ogóle znajduję pracę i czy mój pracodawca zechce płacić składki.

Kobiety wciąż zarabiają mniej niż mężczyźni na porównywalnych stanowiskach – różnica to średnio 17 proc. Kobiety częściej „utylizują” na stanowiskach z zamkniętą drogą zawodowego rozwoju. To głównie panie pracują w najgorzej opłacanych zawodach, takich jak szwaczki, kelnerki czy kasjerki.

Z raportu ekspertek warszawskiej SGH dr Joanny Ruteckiej i dr Barbary Więckowskiej wynika, że im mniej zarabiamy, tym dłużej musimy zbierać choćby na minimalną emeryturę. Nie trzeba ekonomicznego geniusza, żeby zrozumieć, że by naprawę „dogonić” mężczyzn, w nowym systemie powinny pracować nie tyle samo, ale dłużej niż panowie. Rząd zajmuje się jednym elementem równania, czyli długością czasu pracy. A co z drugim, czyli płacą?

Według statystyk to kobiety łatwiej „wypadają” z rynku pracy i dłużej pozostają na bezrobociu. Dotyczy to w szczególności kobiet 50+, które doznają dyskryminacji zarówno ze względu na wiek, jak i płeć. Rząd nie przedstawił dotąd nawet zarysów planu zwiększenia poziomu zatrudnienia kobiet, szczególnie w tej grupie wiekowej.

### Co nam po umowach śmieciowych?

Żeby zapracować na emeryturę, choćby i najniższą, trzeba mieć pracę na etacie. Tymczasem coraz więcej osób w Polsce – obecnie blisko jedna trzecia wszystkich zatrudnionych – pracuje na podstawie umów cywilnoprawnych, a nie umów o pracę. Teoretycznie istnieje wymóg opłacania w takich przypadkach składki ZUS, ale w praktyce jest on często omijany. I to zazwyczaj nie z inicjatywy pracodawców, lecz pracodawców, którzy np. zatrudniają te same osoby na seryjnych umowach tymczasowych, stażach, a najchętniej za pośrednictwem agencji pracy tymczasowej. Czy ktoś policzył już, jakie emerytury będą miały osoby, które większość życia pracują na umowie – zleceniu? Należą do tej



Justyna Cieślakowska

grupy. W ciągu ponad 10 lat pracy zawodowej w kilku firmach udało mi się uzbierać w ZUS całe 30 zł, więc z punktu widzenia mojej emerytury najlepiej byłoby wydłużyć czas pracy przynajmniej do 80 lat albo i setki.

Popularność tzw. umów śmieciowych znacząco zmniejszyła wpływy do ZUS. Przewodnicielki Ogólnopolskiego Związku Pielęgniarek i Położnych oszacowały w ubiegłym roku, że jeśli wszystkie pielęgniarki przejdą na umowy, czyli umowy o dzieło – a wywierają na nie takie naciski – to rocznie do kasy ZUS wpłynęła kwota mniejsza o 1,4 mld zł. Jeśli ma-

chce zadbać o naszą wspólną przyszłość, powinniśmy wreszcie zatkać tę gigantyczną dziurę, którą pieniądze wyciekają z ZUS.

W dyskusji o emeryturach przewija się pogląd, że krótszy czas pracy kobiet jest niesłusznym „przywilejem”, który należałoby zlikwidować. Czy chodzi rzeczywiście o przywilej, czy może raczej o niepisaną umowę społeczną, na której kobiety wcale nie wychodzą dobrze? Krótszy czas pracy nie wynika przecież z szarmanckiej postawy ustawodawców czy przekonania o wrodzonej delikatności kobiet, tylko z założenia, że kobiety w większym

stopniu niż mężczyźni obciążone są obowiązkami pozazawodowymi, czyli nieodpłatną pracą w domu. Ta praca nie liczy się do emerytury, ale przynosi społeczeństwu wymierne korzyści – wartość wykonywanych przez kobiety prac związanych z opieką, dbaniem o dom i innych członków rodziny według ostrożnych szacunków wynosi średnio około 20 proc. PKB.

Nieodpłatna praca kobiet to ewidentna korzyść dla państwa, choć krótkoterminowa. Jeśli matki opiekują się dziećmi, państwo oszczędza na żłobkach i przedszkolach. Jeśli córki opiekują się chorymi rodzicami, państwo oszczędza na służbie zdrowia i opiece społecznej. Tymczasem dziś, mimo że rodzenie dzieci i opieka nad nimi jest dla społeczeństwa niezwykle cenna, kobieta jest finansowo karana za bycie matką, szczególnie jeśli prowadzi własną firmę.

Przedsiębiorczyni, jeśli płacą terminowo składki, dostaną zasiłek macierzyński w podstawowej wysokości, czyli 1800 zł brutto. Urlop wychowawczy nie liczy się jako okres składkowy, a to przekłada się na niższą emeryturę. Często kobiety opiekujące się dziećmi i chorymi w ogóle nie zbierają na przyszłą emeryturę, bo muszą zrezygnować z pracy.

Ten problem nie dotyczy tylko kobiet sukcesu z pierwszych stron gazet, ale tysiący kobiet, które w ramach redukcji kosztów zatrudnienia musiały założyć jednoosobowe firmy.

### Nie chcemy wątpliwych przywilejów

Kobiety pracują dziś pięć lat krócej niż mężczyźni, jednak w rzeczywistości pracują na dwa etaty. Z badań zespołu prof. Anny Titkow (PAN) wynika, że prace domowe zajmują kobietom średnio 40 godzin w ciągu tygodnia, zaś mężczyznom w najlepszym razie kilka. To są godziny nieodpłatne i bezskładkowe. Trudno nazwać taką sytuację przywilejem.

Jeśli kobiety mają pracować tyle samo co mężczyźni, niepisana umowa społeczna przestaje obowiązywać i państwo powinno zapewnić instytucjonalną opiekę dzieciom i osobom zależnym. A pracę w domu trzeba będzie wreszcie podzielić równo.

Równe dzielenie obowiązków domowych i rodzinnych jest kluczem do sukcesu i to nie tylko demograficznego. Przykład krajów skandynawskich wskazuje, że bez prawdziwej równości w sferze opieki nie ma co marzyć o tym, by więcej kobiet miało szansę na udział w rynku pracy, a w konsekwencji na godziwe emerytury. Pomysł PSL, by kobietom skracać wymagany do emerytury czas o trzy lata za każde urodzone dziecko, bez opłacania składek, które

umożliwią im godne życie na emeryturze, jest z epoki, która nieodwołalnie przemija.

Debata o wydłużeniu wieku emerytalnego jest świetnym przykładem na to, jak w Polsce traktuje się politykę społeczną. Politycy oraz większość ekspertów i publicystów skupia się na jednym jej elemencie – długości pracy zawodowej – ignorując inne czynniki, które wpływają zarówno na wysokość emerytury, jak i na nasze chęci i możliwości, by pracować dłużej.

W praktyce wszystkie elementy – długość czasu pracy, poziom bezrobocia, wysokość płac, zabezpieczenia socjalne w przypadku utraty pracy, instytucjonalna opieka nad dziećmi i osobami zależnymi, a także inne (jak choćby jakość opieki zdrowotnej i dostęp do leczenia) są ze sobą ściśle powiązane.

Zapewne są osoby, które chciałyby pracować jak najkrócej albo nie pracować w ogóle. Badania pokazują jednak, że dla zdecydowanej większości z nas praca ma wartość samą w sobie. Przeciętna kobieta w Polsce chętnie pracuje, jeśli tylko może. Co więcej, już dziś przeciętna emerytura w przypadku kobiet jest o blisko jedną trzecią niższa niż w przypadku mężczyzn, więc większość z nas dobrze wie, jak się żyje za grosze. Nawet jeśli same należymy do dobrze zarabiającej elity, to rzadko należą do niej nasze matki i babki. Jeśli mimo to nie chcemy pracować dłużej, najwyraźniej nie mamy podstwy, by wierzyć, że nam się to opłaci.

Oczywiście polityka społeczna kosztuje, i to sporo. A budżet się nie rozciągnie. Trzeba więc zastanowić się, co stanowi ceną inwestycję, a co jedynie generuje koszty. Lepiej byłoby zapłacić pełną stawkę ZUS młodym matkom, traktując to jako inwestycję w przyszłość, niż wydawać 2,5 mld zł na dwa reprezentacyjne stadiony w samej tylko Warszawie. A pieniądze wydane na profilaktykę zdrowotną dadzą z pewnością większą stopę zwrotu niż te wydane na zakup broni.

Polski nie stać na krótkowzroczną i wybiórczą politykę budżetową, która nie uwzględnia potrzeb kobiet. Pomysły już są: subwencje na żłobki przydzielane na podobnej zasadzie jak w przypadku szkół; czeki opiekuńcze, za pomocą których można by opłacać opiekę nad dziećmi lub chorymi, urlop rodzicielski dostępny w takim samym stopniu dla kobiet jak mężczyzn w miejsce dwóch tygodni dla ojców. Czas zacząć o nich dyskutować.

Dr Elżbieta Korolczuk jest socjolożką, stypendystką programu Marie Curie, a także Fundacji Morza Bałtyckiego i Szwedzkiej Rady Naukowej. Obecnie pracuje na Uniwersytecie Södertörns w Sztokholmie. Jest członkinią Porozumienia Kobiet 8 Marca

# Obywatelu emerycie!

Rząd chce, żebyśmy pracowali dłużej, bo inaczej nie będzie pieniędzy na emerytury. A może minimalną emeryturę powinien otrzymywać każdy obywatel - niezależnie od tego, czy kiedykolwiek płacił składki?

LUKASZ WÓJCIK

**N**a tym świecie nie ma nic pewnego, z wyjątkiem śmierci i podatków - przekonywał w XVIII w. Benjamin Franklin. I emerytur - dorzuciło wiele rządów w XX w. Obiecanki skończyły się w 2008 r., wraz z nadejściem kryzysu.

Większość systemów emerytalnych na świecie ma charakter przymusowy. W Polsce przyszli emeryci odkładają obowiązkowe składki (kapitał) na odrębne konta do funduszy emerytalnych. Te fundusze inwestują zgromadzone pieniądze w papiery wartościowe, najczęściej w nisko oprocentowane, ale pewne obligacje państwowe. Gdy inwestor, czyli składkowiec, przekroczy wiek emerytalny, fundusz oddaje mu zgromadzony kapitał i zarobione na obracaniu nim odsetki w miesięcznych ratach - to właśnie „emerytura”, w wysokości proporcjonalnej do wartości odprowadzonych składek.

Ten model, który miał zagwarantować nam godziwe pieniądze na starość, od początku zakładał, że dwie okoliczności nie ulegną zmianie. Po pierwsze, że gospodarka będzie się stale rozwijać, a co za tym idzie - wszelkie inwestycje będą przynosić mniejsze lub większe zyski. Po drugie, że w przyszłości ktoś (czyli nasze dzieci i wnuki) wykupi od funduszy emerytalnych obligacje, a pieniądze z tych transakcji trafią do nas w formie emerytur.

Zgodnie jednak z prawem Murphy'ego, co mogło pójść źle, to poszło. W 2008 r. większość funduszy emerytalnych na świecie poniosła straty, czasem nawet kilkunastoprocentowe,

a obligacje wielu państw przestały być już pewną inwestycją. Biorąc pod uwagę trendy demograficzne w Europie, nie możemy też być już pewni, że następne pokolenie będzie wystarczająco liczne, aby wykupić obligacje od funduszy emerytalnych. Jeśli tego nie zrobią, my nie dostaniemy emerytur. Śmierć i podatki wciąż będziemy mieli jak w banku, gorzej z emeryturami.

## Fikcja systemowa

Proponowane dziś przez polski rząd reformy, czyli ograniczenie przelewów do Otwartych Funduszy Emerytalnych na rzecz ZUS oraz wydłużenie i zrównanie wielu emerytalnego kobiet i mężczyzn, to ruchy pozorne. Szczególnie, że rząd planuje zmieniać wiek emerytalny stopniowo, aż do 2040 r.

Już dziś emerytalny system kapitałowy w Polsce to fikcja. Nie tylko pośrednio, z powodu kryzysowych problemów funduszy emerytalnych i nadchodzącej zapaści demograficznej. To fikcja też w sensie dosłownym. Choć uczestnicy II filaru odkładają składki na odrębne konta, to ich suma jest tylko zapisem księgowym. Pieniądze ze składek dzisiejszych pracujących idą na świadczenia dla obecnych emerytów. Dlatego wysokość emerytur dzisiejszych składkowniców zależy od tego, w jakim stanie będzie polska gospodarka, gdy zaczną oni pobierać emerytury.

Większość systemów emerytalnych na świecie już dziś nie jest samowystarczalna i rządy krajowe muszą do nich dokładać pieniądze z bieżących podatków. Po co więc nam ta kosztowna fikcja?

W ubiegłym roku międzynarodowa firma konsultingowa Mercer przygotowała ranking najlepszych systemów emerytalnych na świecie. Autorzy brali pod uwagę wysokość emerytury względem ostatniej pensji, długofalową stabilność systemu oraz pewność wypłat. Kolejność na szczycie rankingu była następująca: Holandia, Australia, Szwecja i Kanada. Jedna cecha łączy te cztery systemy - wszystkie one gwarantują minimalną emeryturę niezależnie od tego, czy ktoś kiedykolwiek płacił składki.

W ojczyźnie tego rozwiązania, Kanadzie, oraz w Holandii, aby pobierać emeryturę, wystarczy być obywatelem. W Australii tym, którzy odłożyli za mało, państwo wypłaca „rentę starczą”.

Szwedzki system emerytalny, na którym wzorowana była polska reforma z 1999 r., wyróżnia emeryturę do poziomu określonego przez państwo, jeśli ten wynikający z systemu kapitałowego jest zbyt niski.

W Polsce rozwiązanie polegające na gwarantowanej przez państwo minimalnej emeryturze dla wszystkich zaczęto nazywać emeryturą obywatelską i jest ono dziś jedyną poważną alternatywą wobec przymusowego systemu kapitałowego, który bez względu na manipulacje wiekiem emerytalnym za 30-40 lat i tak czeka katastrofa, jeśli nie będziemy do niego dokładać z budżetu. Więc może lepiej od razu zacząć płacić emerytury wprost z budżetu, szczególnie że i tak w konstytucji (art. 67) każdy obywatel ma zagwarantowane świadczenia emerytalne?

## Wszystkim po równo

W systemie obywatelskim emeryturę otrzymuje każdy obywatel po przekroczeniu wieku emerytalnego. Nie jest ona wysoka, ale dostają ją nawet ci, którzy w życiu nie odprowadzali składek emerytalnych. Państwo, działając w zgodzie z konstytucją, i tak musiałoby się nimi zaopiekować. Taki system jest całkowicie bezskładkowy, bo finansowany wprost z budżetu, więc też znacznie tańszy, bo niepotrzebna stałaby się armia 50 tys. urzędników ZUS, którzy dziś prowadzą szalenie skomplikowaną księgowość i pobór składek. ZUS w systemie obywatelskim zajmowałby się wyłącznie dystrybucją emerytur, przy której trudno byłoby o pomysłową, bo wszyscy dostawaliby po równo.

W Kanadzie, tak jak w Polsce, są trzy rodzaje emerytalne. Z tą różnicą, że pierwszy jest bezskładkowy, finansowany w całości z budżetu państwa i zapewnia minimalną emeryturę wszystkim obywatelom, a nawet niektórym obywatelom z zagranicy, a nawet niektórym obywatelom z kartą stałego pobytu. Trudno przyznać, że ta emerytura - nieco ponad 500 dolarów kanadyjskich - jest rzeczywiście minimalna. Ale Kanadyjczycy nie muszą na nią odkładać i wszystkie zaoszczędzone w ten sposób pieniądze mogą wpłacać do drugiego i trzeciego filaru, podwyższając w ten sposób przyszłą emeryturę.

Jeśli chodzi o budżetowe finansowanie typowo minimalnych emerytur, to polski system tylko pozornie różni się od kanadyjskiego. Składki



Warszawa, 28 maja 2011 r.  
- Wyścig Szczurów.  
Nawet im emerytury mogą uciec

Danuta Matloch

emerytalne, odprowadzane dziś przez aktywnych zawodowo Polaków, nie są wcale składkami, bo nie są tak naprawdę składane na kontach emerytalnych, tylko trafiają pośrednio do dzisiejszych emerytów. Składki te są więc w Polsce ukrytym podatkiem. Dodatkowo państwo dotuje ZUS wprost z budżetu, czyli też z podatków. Fikcja ta jest szalenie droga, bo w Polsce de facto działają obok siebie dwie dublujące się instytucje, naliczające i pobierające podatki: Urząd Skarbowy i ZUS. Nieformalnie więc już przyjęliśmy budżetowy system finansowania emerytur, ale utrzymując fikcję systemu kapitałowego, nie korzystamy z jego podstawowych zalet, czyli prostoty i taniaści.

Co więcej, w Polsce działają już dwa systemy emerytalne, które przypominają kanadyjski. Nie ze względu na sposób finansowania, ale z powodu zasady dystrybucji emerytur i powiązania ich wysokości z poziomem wkładu własnego obywateli. Takie więc kanadyjskie cechy mają dziś w Polsce emerytury mundurowe - dostają je wszyscy „mundurowi”, a ich wysokość nie jest powiązana z wartością składek, tylko zależy od stopnia służbowego, z jakim „mundurowy” przechodzi na emeryturę. Drugi taki system obejmuje polskich rolników. Choć płacą oni składki do Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego (KRUS), to mają one charakter ryczałtowy i ich niewielka wysokość - 73 zł miesięcznie - ma w zamysłu ustawodawcy stanowić 10 proc. podstawowej emerytury rolniczej,

czyli 728,18 zł. Dlaczego akurat 10 proc.? Nie ma to najmniejszego znaczenia, bo i tak różnicę między sumą składek a przyszłą emeryturą pokryje budżet, czyli podatnicy. Może więc zamiast likwidować KRUS, należy go rozciągnąć na wszystkich obywateli?

## Zbicie klina

Poza prostotą, przejrzystością, taniością i powszechnością system emerytur obywatelskich ma jeszcze jedną, być może najważniejszą zaletę: pozwala państwu obniżyć podatki bezpośrednio, a w szczególności klin podatkowy, który sprawia, że to, co mamy najcenniejsze, czyli nasza praca, jest dziś w Polsce wyżej opodatkowane niż alkohol.

Jeśli przyjmijemy, że bez względu na formalne zasady systemu emerytalnego - czy to będzie wersja kanadyjska/obywatelska, czy też obecna, kapitałowa - przyszłe emerytury i tak będą finansowane z budżetu państwa, to kluczowa staje się sprawa kondycji tego budżetu w przyszłości. Ta z kolei zależy od przyszłego dochodu narodowego, czyli od tego, ilu z nas i jak wydajnie będzie pracować. Im większe podatki bezpośrednio, obciążające pracę, tym niższe zatrudnienie, mniejszy dochód narodowy, i w końcu mniej pieniędzy na emerytury.

Podstawowym elementem podatków bezpośrednio, zwiększających koszt pracy, jest składka na ubezpieczenie emerytalne, sięgająca obecnie 19,52 proc. naszych dochodów

w przypadku umowy o pracę. Zakładając, że pozostaniemy przy obecnym systemie emerytalnym, jest ona nie do ruszenia - ze względu na samą jej istotę, bo w tym systemie emerytury mają dostawać tylko ci, którzy płacili składki, oraz ze względu na uzależnienie wartości przyszłej emerytury od wysokości składek.

W przypadku emerytur obywatelskich bezpośrednio opodatkowanie pracy w postaci składek emerytalnych państwo może zastąpić opodatkowaniem pośrednim, na przykład poprzez VAT. I tak emerytury będą wypłacane ze wspólnego budżetowego wora, nie będzie więc miało znaczenia, skąd konkretnie pochodzą pieniądze ani nie będzie potrzebna składka do ustalenia wysokości emerytury, bo wszyscy dostaną tyle samo.

Wprowadzenie obywatelskiego systemu emerytalnego w Polsce byłoby skomplikowane i długotrwałe. System ten w pełni mógłby dotyczyć tylko ludzi dopiero rozpoczynających aktywność zawodową. Ci z większym stażem musieliby się zgodzić na formę przejściową, bo przecież zdążyli już coś odłożyć na swoich wirtualnych kontach emerytalnych. Problem w tym, że obecny system kapitałowy, nawet zreformowany do 2040 r., i tak według większości ekonomistów nie wytrzyma starcia z polską demografią. Dlatego dzisiejsza dyskusja o podniesieniu wieku emerytalnego jest drugorzędna. Bo to system jest zły, a nie jego parametry.

Amerkański historyk Michael Kazin pisze, że w ciągu ostatnich kilku dekad demokraci – czy to w przypadku Clintona, czy Cartera – wygrywali wybory tylko wtedy, gdy znacznie przesuwali się ku centrum. Nawet o wiele bardziej, niż rzeczywiście było to konieczne do zwycięstwa. Co zdaniem Kazina oznacza, że w ostatnich dekadach to prawica ma hegemoniczną pozycję w amerykańskiej polityce. Zgodziłby się pan z taką diagnozą?

– Tak to działa od przełomu lat 60. i 70. Wtedy rozpadła się demokratyczna koalicja uzwiązkowionej klasy robotniczej (zwłaszcza katolickiej), Afroamerykanów, Latynosów, istotnej części klasy średniej i inteligencji. Najpierw wojna w Wietnamie zniechęciła wielu amerykańskich robotników do tej koalicji, następnie sprawy praw kobiet, mniejszości rasowych i seksualnych. Od końca lat 60. republikanom

początkowo, obwiniano administrację Busha jr. oraz dzięki wyższej niż zwykle frekwencji wśród Afroamerykanów. W trakcie kampanii republikanie popełnili wiele błędów, przede wszystkim w dziedzinie polityki imigracyjnej, przez co stracili sporo wśród Latynosów – Obamie udało się zdobyć 60-proc. poparcie w tej grupie. Mimo to i tak wygrał o włos, demokratyczna większość w Kongresie nie była wystarczająca, by móc efektywnie przeciwstawiać się bardzo zdyscyplinowanej Partii Republikańskiej.

**W historii demokraci wygrali prezydenturę tylko 17 razy na 44. Jednak przynajmniej pięciu z nich – Jefferson, Jackson, Wilson, Roosevelt i Johnson – było w stanie przeprowadzić znaczące zmiany, które odmieniły oblicze nie tylko amerykańskiej polityki, ale**

się w Białym Domu, próbowali go namówić, by odważył się na bardziej lewicowe reformy, on miał odpowiedzieć: wyjdźcie na ulicę i zmuscie mnie. Nikt nie jest w stanie zmusić do niczego Obamy.

**A ruch Occupy?**

– Taką mamy nadzieję. To była wspaniała niespodzianka niezależnie od tego, czy ten ruch okaże się autentycznym ruchem społecznym, czy tylko protestem – jak się teraz raczej wydaje. Prawdziwy ruch społeczny musi posiadać zaplecze – grupę ludzi, i umieć zidentyfikować ze sobą ludzi, którzy dostrzegają w nim realną szansę dla siebie. Tak jak ruch kobiet, czarnych domagających się praw obywatelskich, robotników próbujących wywalczyć prawo do zrzeszania się. Idea „99 proc.” nie może stanowić takiego zaplecza. Różne ane-

# Ameryka rządzi, bo wierzy

Czy ruch Occupy zmusi Baracka Obamę do radykalnych reform? Czy lewica potrzebuje boga, bo religia okazała się nieśmiertelna? Z amerykańskim filozofem **MICHAELEM WALZEREM** rozmawia Sławomir Sierakowski

udaje się gromadzić całkiem spore ilości głosów wśród Amerykanów zarabiających mniej niż średnia krajowa, którzy z zasady powinni głosować na demokratów. Umocnili poparcie w tej grupie, wygrywając dla siebie kwestie polityki zagranicznej, patriotyzmu i zagadnień obyczajowych.

**Prezydentura Obamy jest częścią tego zjawiska?**

– Obama wygrał wybory dzięki temu, że udało mu się na powrót przyciągnąć część głosów klas pracujących – zawdzięczał to w dużej mierze recesji, za którą, przynajmniej

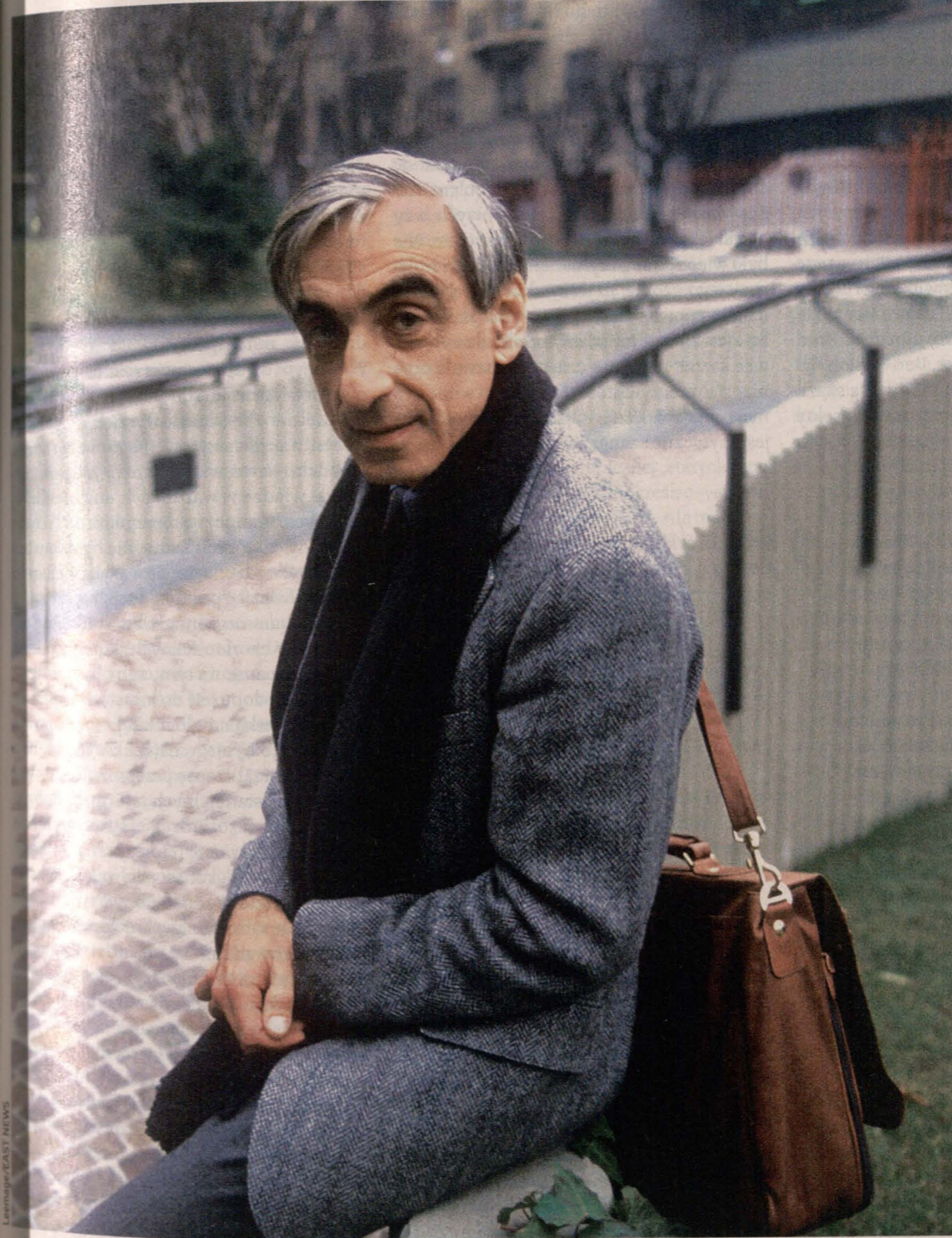
całego życia społecznego i gospodarczego w Stanach. Reformy New Freedom Wilsona, który stworzył także FED, New Deal Roosevelta, Medicaid, Medicare i ustawy o prawach obywatelskich wprowadzone w okresie administracji Lyndona B. Johnsona – to jest pewne trwałe dziedzictwo tych polityków. Czy Obama zostawił po sobie cokolwiek takiego?

– Po pierwsze, warto pamiętać, że sukcesy Roosevelta czy Johnsona nie były sukcesami demokratów, ale ruchów społecznych, które wymusiły wprowadzenie tych zmian. Słynna anegdota z czasów Roosevelta mówi, że kiedy działacze związkowi, z którymi spotykał

chistyczne kaprysy, jakie dostrzegam w tym ruchu, może i wyglądają efektowne, ale politycznie są zupełnie nieskuteczne.

**Dlaczego z uniwersalnego pragnienia sprawiedliwości, stojącego za ruchem Occupy, tak trudno stworzyć spójny polityczny program?**

– Gdyby marksiści mieli rację i materialne interesy były jedyną podstawą politycznej mobilizacji, mielibyśmy dziś w Stanach Zjednoczonych potężną lewicę. Staliśmy się przecież krajem o największych nierównościach na Zachodzie. Ale kwestie obyczajowe (małżeństwa homoseksualne, aborcja



**Dlaczego tak ciężko jest dziś zorganizować ludzi? Na przykład przekonać ich, by dołączyli do związków zawodowych?**

– Marks uważał, że łatwo będzie zorganizować klasę robotniczą. W swoim czasie miał rację. Dziś większość z wielkich fabryk została tu zamknięta, a pracowników usług zorganizować jest bardzo trudno. Z kolei republikanie dużo się napracowali, by było jeszcze trudniej. Są na tym polu organizacje odnoszące sukcesy, na przykład akcja „Sprawiedliwość dla sprzątających”, dzięki której udało się uzwiązkowić wielu pracowników wykonujących prace porządkowe w biurach w dziesiątkach amerykańskich miast. Ale jak można zorganizować pracowników siedzących za kasą w supermarkecie? Na ogół ich praca ma charakter krótkotrwały, w dodatku nie mają oni żadnych kontaktów z pracownikami innych supermarketów.

**A może powody tego leżą głębiej? Być może jesteśmy dziś bardziej zatamizowani niż kiedykolwiek?**

– Kiedyś napisałem książkę o purytanach w Anglii w latach 40. XVII w. Uderzające było, że ludzie, którzy szczególnie silnie ulegali wpływowi radykalnej, religijnej ideologii, często byli świeżymi przybyszami ze wsi do miasta, niezakorzenionymi jeszcze w swoich nowych społecznościach sąsiedzkich, nienależącymi do cechów itd. Zatomizowani ludzie nie tworzą ruchów społecznych, tylko oddają się charyzmatycznym liderom. Ten schemat stale się powtarza. Jednym

z problemów lewicy jest klęska tzw. teorii sekularyzacji. Byliśmy wszyscy absolutnie przekonani, że religia jest skazana na klęskę, a ludzie będą stopniowo coraz bardziej racjonalnie postrzegać rzeczywistość. Jeśli sekularyzacja gdzieś się powiodła, to tylko w niektórych częściach Europy, na pewno nie w USA, nie na Bliskim Wschodzie czy w Indiach. Teraz pracuję nad książką o religiach narodowych, przyglądając się trzem państwom: Algierii, Indiom i Izraelowi. Wszystkie trzy miały w przeszłości tradycje radykalnie świeckich ruchów narodowowyzwoleńczych. Ahmed Ben Bella, pierwszy prezydent Algierii, nie czytał Koranu, tylko Sartre'a i Marlaux. Ben Gurion był przekonany, że ortodoksyjni Żydzi są skazani na los malutkiej, nic nie znaczącej sekty. Nehru wierzył (wprost napisał o tym w swojej książce „Odkrycie Indii”), że hinduistyczny fundamentalizm nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Dziś wydaje się, że wszyscy oni się mylili. Niedawno powiedziałem mojemu przyjacielowi z Izraela, że tym, czego jego kraj naprawdę potrzebuje, jest antyklerykalny ruch na wzór tego z III Republiki we Francji przełomu XIX i XX w.

**Ale czy to naprawdę religia jest tu problemem? Tak zwani fundamentaliści też są zsekularyzowani, bóg także dla nich jest martwy. „Bóg” jest dla nich tylko częścią populistycznego języka.**

– Nie, nie sądzę, by bóg był dla nich martwy. Ich religia może być nowoczesna, zmobilizowana, upolityczniona, niemniej nie przestaje być religią. Wielu z nich jest jej do głębi oddanych, wyznaje swoisty mesjanizm. Widział pan ostatnie badania na temat filantropii w Stanach Zjednoczonych? Amerykanie przeznaczają średnio 2–3 proc. swoich dochodów na dobroczynność. Osoby religijne dają znacznie więcej. Inny przykład. Weźmy ewangelickiego chrześcijanina gdzieś z Iowa, głęboko dotkniętego przez kryzys gospodarczy, zagrożonego eksmisją itd. Logicznie rzecz ujmując, powinien on głosować na kandydata lewicy. Ale jest on tak zaprzęgnięty takimi sprawami jak aborcja, że głosuje na prawicę.

**Czy lewica, by móc działać politycznie, potrzebuje w takim razie boga?**

– W świecie żydowskim grupa lewicowych Żydów w pewnym momencie – szczególnie w latach 20. na takich obszarach jak Polska – całkowicie odeszła od religii. Nie chcieli mieć nic wspólnego z niczym żydowskim. Ale to tak

nie działa. Kiedy odchodzi się w ten sposób, zostaje się ze zbyt małą ilością kulturowego materiału, z którego można by budować lewicową tożsamość, tworzy się zbyt wielki dystans do zwykłych ludzi. Pamiętam też taką anegdotyczną sytuację: zmarł mój znajomy, świecki, lewicowy Żyd. Kiedy miał się odbyć jego pogrzeb, pojawił się problem. Nie ma świeckich ceremonii pogrzebowych, a żydowskie zostały przez niego odrzucone. Nie było więc żadnego rytuału, tylko kilku ludzi przy jego grobie, to wszystko. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, kiedy można płakać. Religia jest zawsze też pewnym kalendarzem, nadaje kształt naszemu czasowi, pozwala organizować rzeczywistość. Nie można sobie bez niej poradzić. Dlatego, jak sądzę, konieczne jest krytyczne zaangażowanie w tradycję reli-

**„Nigdy nie lubiłem pretensji Obamy do bycia „ponadpartyjnym” prezydentem. W USA prezydent jest liderem jednej z dwóch partii i ma obowiązek artykułować istotne dla niej treści. Obamie się to nie udało**

MICHAEL WALZER

gijną. Krytyczne, ze wszystkich nam znanych powodów, ale zaangażowanie.

**Intelektualiści od lewa do prawa piszą dziś takie książki jak Bowling Alone, dokumentujące rozpad więzi społecznych.**

– Fakt, że ostatnie badania pokazują, iż w Ameryce żyje dziś więcej osób prowadzących samotnie gospodarstwo domowe niż kiedykolwiek w historii. Ale jednocześnie ci ludzie są bardzo aktywni społecznie, wieczorami nie siedzą w domu, ale wychodzą, uczestniczą w różnego rodzaju organizacjach, stowarzyszeniach itd. Jest chyba zbyt wcześnie, by formułować zdecydowane sądy na ten temat. W Chinach, gdzie byłem niedawno, głównie w Pekinie, większość dzieci to jedynaki. Po raz pierwszy w historii większość dzieci nie ma braci ani sióstr. Co z nich wyrośnie? Całe społeczeństwo jedynaków, to trudne do wyobrażenia.

Ale nie chcę zbyt pochopnie tworzyć na ten temat teorii. Jaki typ społeczeństwa to stworzy? Być może bardziej indywidualistycznym, ale czy na pewno?

**Wróćmy do spraw bieżącej polityki. Jak oceniliby pan prezydenturę Baracka Obamy?**

– Szczerze mówiąc, cztery lata temu popierałem Hillary Clinton. Uważałem, że jest twardsza i prawdopodobnie bardziej lewicowa od Obamy. Uważałem, że lepiej poradzi sobie z republikańskimi konkurentami. Nigdy nie lubiłem pretensji Obamy do bycia „ponadpartyjnym” prezydentem. W naszym dwupartyjnym systemie politycznym prezydent jest liderem jednej z dwóch partii i ma obowiązek wyraźnie artykułować istotne dla niej treści. Obamie się to nie udało. Natomiast faktem jest, że przejmował władzę w warunkach uniemożliwiających skuteczną prezydenturę. Dwie wojny, z których żadna nie była sensownie prowadzona, cięcia w podatkach uniemożliwiające politykę socjalną, recesja... Ale Obama zgromadził wokół siebie doradców ekonomicznych, którym zależało wyłącznie na tym, żeby ją powstrzymać, nie dopuścić do katastrofy i sprawić, by wszystko mogło funkcjonować po staremu. To był jego największy błąd. Kryzys stwarzał szansę przeprowadzenia bardziej substancjalnych reform, podobnie jak w latach 30. Z drugiej strony wszelkie bardziej odważne reformy mógł zablokować Kongres – konserwatywni demokraci i republikańskie nie mieliby w tym problemu. Ale Obama nawet nie próbował ich przeprowadzić. Na pewno za służbę prezydenta jest to, że polepszył nasze stosunki z europejskimi sojusznikami. Próbował porozumienia ze światem arabskim, jego kalkulacje dyplomatyczne wywróciły rewolucję w północnej Afryce, ale w tamtym momencie był to słuszny krok. Dzięki niemu Amerykanie nie torturują już dłużej jeńców – ani w Afganistanie, ani nigdzie indziej. Zrobił dużo, by zamknąć Guantanamo, choć to się nie udało. Ludziom tam więzionym trzeba by postawić zarzuty, przenieść ich do więzień w Stanach, ale żadne nie chciało ich przyjąć. Poza tym dowody przeciw nim zostały zdobyte głównie w wyniku tortur i nie utrzymałyby się w naszych sądach. Trzeba więc było pozostać przy trybunałach wojskowych, Guantanamo nie zostało zamknięte, ale przetrzymywanych jest tam o wiele mniej osób i są one traktowane lepiej niż w czasach Busha. Wielkim osiągnięciem jest reforma systemu

opieki zdrowotnej. I i nominacje sędziowskie – to najważniejszy powód, by go popierać. W USA opiekę zdrowotną zapewnioną mają osoby powyżej 65. roku życia. Ja na przykład, nic nie musiałem płacić za moją pompę insuliniową wartą kilka tysięcy dolarów. Reforma Obamy nie daje nam tego, co dają europejskie systemy opieki zdrowotnej, ale przesuwają nas w tę stronę.

**Przejdźmy teraz do republikańców. Politolog Samuel Lubell powiedział dawno temu, że amerykańskie partie polityczne nie są wcale jak dwa konkurujące ze sobą słońca, ale jak słońce i księżyc. To wewnątrz partii posiadającej większość zapadają najbardziej istotne rozstrzygnięcia, partia, która jest w mniejszości, świeci tylko odbitym światłem tamtej”. Kto jest dziś słońcem, a kto księżycem w amerykańskiej polityce?**

– Lubell żył w okresie hegemonii demokratów, zaczynającej się wraz z New Dealem, gdy rzeczywiście większość istotnych politycznych sporów toczyło się wewnątrz Partii Demokratycznej. Eisenhower nigdy nie uchylił żadnej z istotnych reform demokratów. Dziś jest inaczej. Mamy do czynienia z hegemonią republikańców i najważniejsze kwestie rozstrzygane są wewnątrz tej partii. Ale nie powiedziałbym, że to demokraci są księżycem. W sprawie opieki zdrowotnej to oni narzucili temat do debaty publicznej. Dziś mamy właśnie dwa słońca, republikańskie jest może trochę silniejsze. Podziały wewnątrz tej partii są fascynujące. W 2000 r. republikańskie wyglądały jak bardzo zdyscyplinowana partia. Wydawało się, że całą myśl polityczną dyktowali jej neokonserwatywni intelektualiści, którzy mieli przede wszystkim pomysł na politykę zagraniczną i gospodarczą – neoliberalną, sprzyjającą jednemu procentowi najbogatszych. Konserwatyści, ewangelicy chrześcijanie dostali wiele symbolicznych danin, ale nie przeprowadzono żadnych trwałych zmian, jakich mogliby pragnąć. Sąd Najwyższy, nawet obsadzony republikańskimi sędziami, jak dotąd nie cofnął decyzji w sprawie aborcji, małżeństwa homoseksualne przyjmowane są przez kolejne stany. Ewangelicy wspierali republikańców, ale tak naprawdę nie dostawali za to wiele.

**Dziś republikańcy są bardzo podzieleni. Jak to wygląda z pana perspektywy?**

– Mamy silne skrzydło libertariańskie, jego działacze uważają się za radykałów, ich kandydat Ron Paul zdobywa około jednej czwartej głosów w każdym prawyborach. Ta frakcja jest niezwykle wroga neokonserwatywnej polityce

zagranicznej. Nie wiadomo tak naprawdę, jak zagłosują w listopadzie. Druga frakcja to konserwatywni, ewangelicy chrześcijanie, zmęczeni już szczerze tym, że dostają od partii tak mało. Oni stoją za sukcesami Ricka Santoruma. Trzecia frakcja to „starzy republikańcy”, przekonani o konieczności agresywnej polityki zagranicznej, polityki wewnętrznej wspierającej kapitał, ale niechętni libertariańskiemu radykalizmowi. Te trzy frakcje walczą zacięcie, ich kandydaci to Paul, Santorum i Romney. Ale w tych walkach nie rozstrzygają się żadne istotne kwestie. To, co interesuje libertarian i chrześcijańskich konserwatystów, to kwestie tak naprawdę politycznie marginalne.

**Nie wspominał pan o Newcie Gingrichu. Kogo on reprezentuje?**

– W kwestii polityki zagranicznej „starych republikańców”. Poza tym lubi podkreślać swój konserwatyzm w innych kwestiach. Ale to jest potworny demagog i każdy republikańczyk, który miał nieszczęście z nim pracować, jest przeciw niemu. Nie ma raczej zbyt dużego poparcia w partii.

**Największe szanse na nominację ma Romney?**

– Tak, spodziewałbym się jego zwycięstwa.

**Czy to silni kandydaci? Najlepsi, na jakich stać republikańców.**

– Nie. Część republikańskich intelektualistów, zwłaszcza neokonów, liczy, że konwencja generalna partii nie będzie w stanie wybrać żadnego z nich i partia będzie musiała postawić na kogoś innego.

**Na przykład na kogo?**

– To mógłby być ktoś z republikańskich gubernatorów. Mitch Daniels z Indiany, Chris Christie z New Jersey. Ktoś, kto sprawia wrażenie konserwatywnego, ale jednocześnie daje się zaakceptować przez establishment.

**Obama może w ogóle przegrać czy jak na okładce „New Yorkera” z rozbawieniem i piwem będzie patrzeć, jak wykańczają się jego kiepscy przeciwnicy?**

– Dużo zależy od gospodarki, od tego, czy będzie rosło zatrudnienie – wielu ekonomistów uważa, że nie. Istnieje też możliwość, że zostanie ponownie wybrany z republikańskim Kongresem i nie będzie nic w stanie zrobić przez następne cztery lata.

**Problem wojny z Iranem znów wraca do publicznej dyskusji. Jakie warunki musiałyby być spełnione, by wojna Izraela czy Stanów**

**z Iranem mogłaby zostać uznana przez pana – autora słynnej książki o teoriach wojen sprawiedliwych – za sprawiedliwą właśnie?**

– Izrael staje tu przed bardzo trudnym wyborem. Podejmie go w dodatku najgorszy chyba rząd, jaki ten kraj miał w całej swojej historii. Nie wiem, czy byłoby łatwiej, gdyby Izrael miał lepszy, centrolewicowy rząd, ale przynajmniej ufałbym ich osądowi. W Iranie mamy rząd, który publicznie stawia sobie za cel likwidację państwa Izrael. Nie korektę jego granic – co miałyby więcej sensu – ale starcie go z mapy. Iran próbuje uzyskać broń, która uczyni to bardziej możliwym – nie prawdopodobnym, ale możliwym. I rząd w Izraelu może nie mieć środków, by to powstrzymać. W tych warunkach muszą podjąć decyzję. Większość ekspertów wojskowych jest przeciw wyprzedzającemu atakowi na Izrael – są przekonani, że nie będzie on skuteczny i rozpęta konflikt w regionie. Jeśli Izrael byłby w stanie powstrzymać Iran przed uzyskaniem broni atomowej przy pomocy precyzyjnego, chirurgicznego ataku, który nie wiązałby się z ofiarami wśród ludności cywilnej, wtedy taki atak byłby usprawiedliwiony. Wątpię, czy Izrael jest w stanie spełnić te warunki. Jednym z warunków wojny sprawiedliwej jest jej efektywność, Izrael nie spełnia dziś tego najbardziej podstawowego kryterium.

Jeśli jednak uznamy, że atak jest niesprawiedliwy, musimy szukać alternatyw. Alternatywą mogą być sankcje przeciw Iranowi, które są już bardzo surowe i będą jeszcze surowsze – powinny one skłonić władze w Teheranie do zastanowienia. Powinny im towarzyszyć agresywne negocjacje (być może wspierane przez wzmoczoną obecność wojskową NATO w regionie), przy pomocy dyskretnych, tajnych kanałów. Nie wiem, czy ludzie Obamy mają dość agresywne podejście, zarówno jeśli chodzi o sankcje, jak i negocjacje.

Trzeba także brać pod uwagę, co się stanie, jeśli Iran zdobędzie broń nuklearną. Będziemy mieli bardzo niestabilny reżim z bronią atomową wymierzoną w Izrael, niestabilną sytuację w regionie, z amerykańskimi łodziami z głowicami atomowymi w Zatoce Perskiej, z Saudyjczykami, a być może także Egipcjanami pracującymi nad uzyskaniem własnej broni nuklearnej. Trzeba to wszystko brać pod uwagę.

Michael Walzer jest jednym z najbardziej znanych amerykańskich filozofów. Pełni funkcję redaktora naczelnego pisma „Dissent”. Profesor Institute for Advanced Study w Princeton. Odwiedził Polskę pierwszy raz w maju z serią wykładów jako jeden z głównych gości 10. urodzin „Krytyki Politycznej”



# Interwencja w Syrii już?

Czy Zachód powinien zbrojnie obalić Baszara al-Asada? Czy taka interwencja może być skuteczna? Czy byłaby moralnie uzasadniona?



Timothy A. Clary/AFP/EAST NEWS

**Łukasz Wójcik:** Co zrobić z Baszarem al-Asadem?

**Klaus Bachmann:** Dać mu uciec. To jest wniosek z podobnych przypadków na świecie z ostatnich 30 lat. W tej chwili opozycja w Syrii musi się zastanowić, jak zbudować „swojemu” dyktatorowi złoty mostek, przez który może uciec tak, żeby nie musiał walczyć do końca, żeby przestał mordować ludzi.

**Wójcik:** Panowie też uważają, że to jest dobre rozwiązanie?

**Stefan Zgliczyński:** Myślę, że w Syrii nie ma takiej możliwości. Nienawiść ze strony opozycji, to, co wypisują na plakatach, i to, co wykrzykują na ulicach, to wszystko nie pozostawia wątpliwości, że oni dla Asada nie wyobrażają sobie innego losu jak los Kaddafiego.

**Wójcik:** Może więc w końcu zbrojna interwencja Zachodu?

**Zgliczyński:** Kraje, które uniknęły zewnętrznej interwencji i które mogły same zdecydować o swojej przyszłości, takie jak na przykład

Tunezja, Egipt czy kraje Europy Wschodniej po 1989 r., dobrze na tym wyszły.

**Wójcik:** Tu jednak skala ludzkiej tragedii jest inna. Dziś mamy do czynienia z masowymi mordami. Pytanie, przed którym dziś staje my, dotyczy konfliktu między suwerennością państwa a prawami człowieka. Ewentualna wrażliwość międzynarodowa przesuwana jest teraz w stronę dominacji praw człowieka.

**Zbigniew Marcin Kowalewski:** Tak, ale to dopiero kurs absolutnie wybiórczy. Jakie prawa człowieka

wieka istnieją w Arabii Saudyjskiej? Ten reżim nie jest przedmiotem jakiegokolwiek uwagi w mediach, nie słychać żadnych potępień, a przecież to jest jeden z najbardziej reakcyjnych reżimów świata, najbrutalniej gwałcących prawa człowieka. Mamy Bahrajn, gdzie znów padają ofiary. Ale ponieważ w Bahrajnie stacjonuje amerykańska flota i Amerykanie mają tam bliskie związki z władzą, nikt się na te zbrodnie nie oburza. A 70 proc. ludności Bahrajnu nie posiada żadnych praw obywatelskich ze względu na to, że są to szyici, a reżim jest sunnicki. To sytuacja niedopuszczalna i godna napiętnowania. Nikt nie mówił również o interwencji humanitarnej w Jemenie, chociaż krew się tam lała, strzelano do tłumów, trwało to miesiącami. No i problemu nie ma. Więc dlaczego świat miałby interweniować w Syrii? Jaka jest w tym logika?

**Wójcik:** Ale czy to oznacza, że nawet w sytuacji, w których motywy kierujące stroną interweniującą są etycznie usprawiedliwione i prawnie zaakceptowane, też nie powinniśmy takich interwencji popierać? Czy jeśli nie interweniujemy w Jemenie, to odbieramy sobie prawo do interwencji w Syrii?

**Kowalewski:** Chodzi o to, że te interwencje nie są realizowane w celach demokratycznych, ale są ściśle związane z interesami mocarstw, które je realizują.

**Bachmann:** Uporządkujmy tę dyskusję. Zazwyczaj interwencje humanitarne są organizowane przez ONZ i wcześniej godzą się na nie strony konfliktu. O tym nie ma mowy w Syrii. Rząd Asada nie chce takiej interwencji, bo ma nadzieję, że wygra ten konflikt militarnie. Ale akurat interwencje pod egidą ONZ bardzo często są skuteczne, przynajmniej w średnim horyzoncie czasowym - obie strony dochodzą do porozumienia, jest rozejm, są negocjacje, a przez ten czas ONZ pilnuje pokoju. Pod tym względem jest parę udanych interwencji, na przykład w Namibii w 1990 r., gdzie byli też polscy żołnierze.

**Wójcik:** W przypadku Syrii nie ma szans na interwencję pod egidą ONZ.

**Bachmann:** Nie. Mówimy o sytuacji, gdy strony, które walczą ze sobą, dochodzą do wniosku, że nie są w stanie tego wygrać, chcą zakończyć konflikt, natomiast ich siły są na tyle splecione ze sobą, że nie potrafią tego sami zakończyć. I wtedy walczący proszą ONZ o interwencję, rozdzielenie frontu. Ale w Syrii nie ma mowy o takim rozwiązaniu.

**Wójcik:** Przyjmijmy więc, że w ramach obecnych mechanizmów międzynarodowych nie już się nie da zrobić. Co dalej?

**Zgliczyński:** W Syrii mamy problem charakterystyczny dla takich dyktatur. Nie funkcjonują tam żadne, nawet elementarne mechanizmy kontroli poparcia dla reżimu lub dla opozycji, podobnie jak w Libii. Nie wiemy, jaka część społeczeństwa stoi po stronie Asada, a jaka część po stronie opozycji, znów podobnie jak wcześniej w Libii. Założenie, że jest dyktator, wokół niego niewielka klika, a całe społeczeństwo jest przeciwko władzy, to fikcja. Tak jak w przypadku Libii.

**Bachmann:** Tak, ale możemy to ocenić z perspektywy czasu. Podobnie jak w Libii media i zachodni politycy przedstawiają konflikt jako walkę całego narodu przeciwko zniechęconemu dyktatorowi. Gdyby tak było, to i Kaddafi, i Asad zostaliby obaleni bardzo szybko. Ale teraz minęło już 11 miesięcy i Asad nadal

**”Bardzo się cieszę, że Rosjanie mają takie dobre stosunki z Syrią, bo to oni będą budować ten złoty most, przez który Asad może uciec**

KLAUS BACHMANN

rzędzi, a po jednej i drugiej stronie walczą żołnierze. Nie jest to więc walka narodu z jednym dyktatorem, lecz wojna domowa.

**Wójcik:** Ale nawet zakładając taki scenariusz, czy jednak to, co się działo w Libii, a teraz dzieje się w Syrii, nie wypełnia przesłanek ONZ-owskiej zasady „Responsibility to Protect” („Obowiązek ochrony”), czyli zobowiązania do interwencji w sytuacji, gdy lokalny rząd nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa własnym obywatelom? Przecież z punktu widzenia Syryjczyków, którym grozi śmierć, nie ma znaczenia, kto interweniuje i jakimi intencjami jest powodowany?

**Bachmann:** Ja mam z tym problem, bo wychowywałem się w retoryce praw człowieka. Według tej retoryki społeczność międzynarodowa ma obowiązek interweniowania, gdy dochodzi do określonych zbrodni, jak na przykład ludobójstwa; że ten, kto je popełnia, powinien być ukarany; że nie powinno być dla niego ucieczki; że międzynarodowy system prawny powinien być zbudowany tak, aby doszło do przykładowego ukarania zbrod-

niarza. Problem w tym, że choć to wszystko jest bardzo słuszne, to prowadzi często do skutków odwrotnych od zamierzonych. Jeśli dyktator nie ma możliwości ucieczki, to walczy do końca (jak Kaddafi), powodując więcej ofiar, niż gdyby miał jakąś rozsądną ofertę odejścia. To szalenie niemoralne, ale trzeba mu powiedzieć: „Panie Asad, zabierz pan rodzinę, zabierz pan majątek, osiedl się na Krymie, tam jest ładnie i ciepło. I będzie pan miał gwarancję niekaralności. Pod warunkiem, że natychmiast przestaniesz zabijać i odejdziesz”. To tworzyłoby szanse wcześniejszego zakończenia konfliktu i oszczędziłoby wiele ofiar.

**Wójcik:** Istnieją takie mechanizmy, które rozwiążą problem interwencji, które sprawią, że będą one skuteczne i akceptowane?

**Zgliczyński:** Dziś nie ma uniwersalnego modelu i trudno się go spodziewać w bliskiej przyszłości. ONZ powstała po II wojnie światowej przede wszystkim po to, aby nie dopuścić do kolejnej na taką skalę. W dzisiejszych warunkach ta organizacja już nie działa. Interesy największych mocarstw decydują o tym, której interwencji przyznać legitymację społeczności międzynarodowej. Tylko że „społeczności międzynarodowej” to też puste hasło. Nic takiego nie istnieje. I koło się zamyka.

**Bachmann:** Można ustanowić generalne zasady interwencji. Tylko że one nie będą miały nic wspólnego z moralnością. Po pierwsze, przewidywany wysiłek własny państw interweniujących musi być umiarkowany, bo inaczej wydarzy się drugi Afganistan - że się powoli wykrwawimy, że to po prostu jest zbyt kosztowne i że kraje interweniujące napotkają opór we własnym społeczeństwie. Po drugie, kraj, w którym będziemy interweniować, musi być odizolowany, żeby interwencja nie groziła powikłaniami, rozszerzeniem się konfliktu na cały region. To - jak wiadomo - jest realne zagrożenie w przypadku Syrii. Groźba rozszerzenia konfliktu odstrasza od interwencji niemal tak samo jak posiadanie broni jądrowej przez kraj, któremu grozi interwencja.

Wszystkie te warunki były spełnione przy interwencji w Bośni w połowie lat 90. Naciski na Belgrad i kilka bombardowań wystarczyły, żeby przechylić szalę na korzyść Bośniaków i zmusić bośniackich Serbów do rokowań. To było skuteczne, niewiele kosztowało, nie rozlało się na okolicę, bo bośniaccy Serbowie byli izolowani, ich państwa nikt nie uznał. Natomiast wszystkie te czynniki w przypadku Syrii przemawiają przeciwko interwencji.

Powiem coś bardzo niepoprawnego →





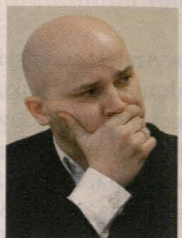
**Zbigniew Marcin Kowalewski**  
zastępca redaktora naczelnego polskiego wydania „Le Monde Diplomatique”, lewicowy aktywista, były działacz „Solidarności”, autor książek i tłumacz



**Klaus Bachmann**  
profesor politologii w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej, specjalista od zagadnień sprawiedliwości międzynarodowej, były korespondent niemieckojęzycznych mediów w Polsce i Belgii



**Stefan Zgliczyński**  
publicysta, dyrektor polskiej edycji „Le Monde Diplomatique”, współzałożyciel i wieloletni redaktor półrocznika „Lewa Noga”



**Łukasz Wójcik**  
dziennikarz i redaktor „Przekroju”

→ politycznie. Bardzo się cieszę, że Rosjanie mają takie dobre stosunki z Syrią, bo to oni będą budować ten złoty most, przez który Asad może uciec. I pewnie Hillary Clinton będzie strasznie oburzona na to i będzie żądać, żeby Asada stanowczo ukarano, ale potem się wycofa do swojego gabaretu i będzie odczuwać wielką ulgę, że ona nie musiała tego zrobić. Bo społeczeństwo amerykańskie by tego nie zniosło, ale opinią publiczną w Rosji to nie wstrząśnie, jeśli Putin da Asadowi azyl.

**Zgliczyński:** Amerykanie zaangażowaliby się w rozwiązanie konfliktu w Syrii tylko pod warunkiem, że mieliby możliwość zainstalowania tam spolegliwego wobec siebie reżimu, a to jest dziś prawie niemożliwe. Rosjanie są potężnie zaangażowani w Syrii, jeżeli chodzi o swoją bazę morską, o gaz i o ropę. Dla nich to jest sprawa i strategiczna, i ekonomiczna. Syria jest też ogromnym importem rosyjskiego sprzętu wojskowego. Tutaj rzeczywiście Rosja może odegrać kluczową rolę – pod warunkiem że dogada się z przeciwnikami Asada, a oni zagwarantują Moskwie ochronę jej interesów po ewentualnej zmianie reżimu.

Wracając do pana pytania, nie ma sensu rozmawianie o interwencjach, które ostatnio często przypominały interwencje z epoki kolonializmu albo imperializmu. Wyczerpują one znamiona wojen kolonialnych. Spójrzmy na dyskusję wokół ewentualnej interwencji w Iranie. Tam nie ma wojny domowej, a reżim jest nieporównywalnie łagodniejszy niż ten w Syrii. Mimo to nad głowami Irańczyków toczy się międzynarodowa debata na zasadzie: „bombardować czy nie bombardować?”. Bo tak chce Izrael, bo tak chcą Stany Zjednoczone.

**Bachmann:** Interwencja zagraniczna, na przykład w celu powstrzymania ludobójstwa, może być skuteczna. Niestety, w bardziej skomplikowanych przypadkach interwencje nie pomagają, a często ich humanitarny aspekt jest tylko ładnie brzmiącą przykrywką dla zupełnie innych motywacji. Dla przykła-

du, obecna sytuacja między Kosowem a Serbią jest lepsza, niż była przed interwencją międzynarodową w 1999 r., więc to był przypadek skutecznej interwencji. Ale proszę pamiętać, jak wówczas ją uzasadniono. Minister spraw zagranicznych Niemiec Joschka Fischer przekonywał, że wchodzimy tam, żeby zapobiec ludobójstwu. I co? Nawet Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, który prowadził kilkanaście procesów dotyczących Kosowa, do dzisiaj nie doszukał się tam żadnego przypadku ludobójstwa, nikt nie został skazany za to rzekome ludobójstwo. Dlaczego więc Zachód wtedy interweniował? Żeby ograniczyć przepływ uchodźców z Kosowa do Europy Zachodniej, bo była obawa, że czeka nas fala nielegalnych imigrantów. Na-

**„Nie mamy żadnej gwarancji, że jeżeli dojdzie do zbrojnej interwencji, to liczba trupów na syryjskich ulicach nie zwiększy się kilkakrotnie**

STEFAN ZGLICZYŃSKI

tomiast oficjalne uzasadnienie było bardzo szczytne – musimy zapobiec ludobójstwu.

**Wójcik:** Tylko że w przypadku Syrii różnica polega na tym, że mamy setki trupów na ulicach. Że to się dzieje teraz, na naszych oczach. **Zgliczyński:** Ale nie mamy żadnej gwarancji, że jeżeli rzeczywiście tak zwana społeczność międzynarodowa podejmie tam interwencję, to liczba tych trupów nie zwiększy się kilkakrotnie, czy nawet kilkadziesiątkrotnie.

**Wójcik:** Być może więc trzeba skłonić do interwencji państwa, które wiedzą, o co w Syrii chodzi. Mam na myśli państwa arabskie, które znają specyfikę reżimu Asada.

**Kowalewski:** Taką regionalną siłą mogłaby być Liga Państw Arabskich. Ale sunnickie państwa z tej organizacji też mają interesy w Syrii. Większość z nich chciałaby upadku reżimu Asada nie dlatego, że strzela do ludzi, tylko dlatego, że jest sojusznikiem szyickiego Iranu.

To, że reżim morduje swoich obywateli, to nie jest problem dla członków Ligi, bo w tych krajach rządy również strzelają do obywateli, tak jak się to dzieje w Arabii Saudyjskiej.

W Syrii mamy prawdziwy węzeł gordyjski, którego nie da się rozplątać bez demokratycznych struktur międzynarodowych. Jakiś stem zwolennikiem interwencji, ale pod demokratyczną kontrolą międzynarodową. Ale nie ma tego rodzaju kontroli. Rada Bezpieczeństwa ONZ nie jest żadną reprezentatywną instytucją. To jest dyktatura grona wielkich mocarstw. Zgromadzenie Ogólne ONZ powinno i mogłoby stać się instytucją, która zapewniłaby demokratyczne mechanizmy, ale oczywiście wielkie mocarstwa nie są tym absolutnie zainteresowane. Takie rozwiązanie przynajmniej zagwarantowałoby przestrzeganie prawa międzynarodowego przez wszystkie strony. Przed upadkiem Kaddafiego komisja wyznaczona przez Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Praw Człowieka oskarżyła libijską opozycję o zbrodnie wojenne i o zbrodnie przeciwko ludzkości. I co? Nikt nie mówi o pociągnięciu tych ludzi do odpowiedzialności.

**Wójcik:** To już ustaliliśmy, że i w Libii, i w Syrii żadna ze stron nie jest bez grzechu. Ale jeśli za cel przyjmujemy powstrzymanie rozlewu krwi, to być może poparcie jednej ze stron bez względu na jej przewinienia, jest też jakimś rozwiązaniem. Nawiązuję tu do pomysłu dozbierania syryjskiej opozycji – żeby jednocześnie dać jej chwałę samodzielnego zwycięstwa i szybciej zakończyć konflikt.

**Zgliczyński:** To doprowadzi do zakończenia konfliktu, ale tylko na ekranach naszych telewizorów. My odetchniemy, a o tym, co się będzie działo dalej w kazamatach, prasa już nie napisze. Ci, których dozbieramy, będą się mścić. Będzie można o tym przeczytać w raportach Human Rights Watch, ale temat gdzie już z ekranów telewizorów.

**Bachmann:** O tym, czy powinniśmy dozbierać jedną stronę, właściwie nie musimy dyskutować, bo to się już dzieje. I prawdopodobnie z tego powodu ten konflikt tak długo trwa. Bo gdyby tylko jedna strona miała broń, to już dawno byłoby po wszystkim. Więc możemy zakładać, że w tej chwili do Syrii broń wpły-

szerekim strumieniem. Pewne jest również, że więcej broni oznacza więcej rozlewu krwi. Problem jest inny. Gdy w latach 90. Amerykanie potajemnie dozbierali Bośniaków i Chorwatów, to mieli gwarancję – dzisiaj to już wiemy – że Rosjanie nie dozbierają bośniackich Serbów. Natomiast w Syrii jest tak, że my możemy dozbierać opozycję, a Rosja i Iran będą dozbierać Asada i w takiej sytuacji układ się wyzeruje, natomiast nie wyzeruje się, jeśli chodzi o ofiary cywilne, bo to prowadziłoby wprost do wojskowej eskalacji konfliktu.

**Kowalewski:** Podobna sytuacja była w Libii. Tam też obie strony konfliktu dostawały broń z zewnątrz. Już na początku sporu w oddziałach Kaddafiego pojawiły się nowe samochody nieznanego pochodzenia, których wcześniej reżim nie posiadał. Więc tego rodzaju rzeczy się dzieją i zapewne będą się działy w Syrii, zwłaszcza jeżeli Zachód zaangażuje się w dostawę broni dla opozycji. Błędne koło. **Zgliczyński:** Mnie się wydaje, że społeczność międzynarodowa – nie mam tu na myśli dydycentów, ale zwykłych obywateli – chciałaby, by już w Syrii przestano mordować ludzi. To ogromna hipokryzja. Chcemy, żeby to się już skończyło, ale nieważne, jakim kosztem, nieważne, co się stanie później.

**Wójcik:** Ale czy to hipokryzja? To emocjonalny odruch ludzi, którzy patrzą dzisiaj w telewizory i widzą, co się dzieje w Syrii. Mają skądinąd uzasadnione wrażenie, że bezczynność również przyczynia się do śmierci tych ludzi. **Zgliczyński:** Zgoda, ja też ścisłam dłoń tak, że mi kłykieciele, jak słucham o milionach głodujących w Korei Północnej, której nikt nie zaatakował. Bo po pierwsze, mają broń atomową. A po drugie, Koreańczycy z południa nie chcą mieć u siebie fali uchodźców z Północy. I ten północnokoreański reżim pewnie będzie istnieć następne 50 lat, bo nic nie wskazuje na to, że Koreańczycy się sami zbuntują. Jest

masę takich miejsc na świecie, to jasne. Tylko wiem też, że stoi za tym ogromna międzynarodowa hipokryzja. Jest oczywiście nacisk demokratycznych społeczeństw na swoje rządy na zasadzie: „No zróbcie coś, oni tam ludzi mordują”. Niestety jednak reakcja rządów jest zawsze podobna – kierują się własnym interesem i kalkulują, czy to im się opłaca.

Po pierwsze, nie wierzę w czystość intencji państw, które ostatecznie decydują się na zagraniczną interwencję. Dzisiaj to głównie Stany Zjednoczone decydują o tym, które państwo jest zbrojeckie i które należy zaatakować. Po drugie, nie wierzę również, że po interwencji sytuacja zmieni się na lepsze. Nie znam takich przypadków.

**Bachmann:** Nie do końca się zgadzam. Jeżeli zaczynamy dzielić świat na lepsze i gorsze państwa, lepszych i gorszych dyktatorów, to argument: „ponieważ nie możemy interweniować wszędzie tam, gdzie dzieje się coś złego, to wobec tego nie powinniśmy tego robić w żadnym przypadku”, jest nie do utrzymania. Bo na tej samej zasadzie, skoro policja nie może złapać wszystkich złodziei, to nie powinna ich w ogóle ścigać. To wewnętrzna sprzeczność takiej argumentacji moralnej i dlatego ja staram się nie argumentować moralnie, bo nie wiem, które państwa są dobre, a które złe. Nie znam obiektywnego kryterium, dzięki któremu mogę powiedzieć, że dany kraj jest zły. Wracając jednak do hipokryzji przed telewizorem. Myślę, że to nie jest hipokryzja, a po prostu pułapka demokratycznej polityki. Nasi politycy są wybierani demokratycznie, wobec tego muszą udawać, obojętnie, czy są, czy nie są w stanie, że mogą coś zmienić, a my tego od nich oczekujemy. Nie wybieramy polityków, którzy mówią: „Chcę rządzić tym krajem, ale nic nie mogę”.

Taką sytuację mamy teraz wokół Syrii. Wszyscy, łącznie z supermocarstwami, doszli

do wniosku, że nic nie mogą. Problem w tym, że nie mogą się też do tego przyznać i podejmują różne, pozorne działania, typu rezolucje Rady Bezpieczeństwa, jakieś tajne dostawy broni. Więc gdyby pani Clinton, panowie Barack Obama, Siergiej Ławrow i Władimir Putin byli uczciwi, to powiedzieliby: „Sorry, musimy czekać, aż obie strony konfliktu syryjskiego poproszą nas o przysłanie błękitnych hełmów, bo chcą zakończyć konflikt. I wtedy my możemy coś zrobić, możemy mediuwać. Natomiast wcześniej niestety nic nie możemy zrobić”. Tylko my takich polityków nie wybieramy, Rosjanie też tego nie robią. To jest ta pułapka, w której jesteśmy. Jeśli w telewizji widzimy, że cierpią ludzie, których przedstawia się nam jako niewinnych, to my oczekujemy od polityków, aby „coś” zrobili. I jeśli oni chcą zaskarbić sobie naszą sympatię, to zrobią „coś”, nawet jeśli to nie ma sensu.

**Kowalewski:** Ja problemu „albo interweniujemy wszędzie, albo nigdzie” nie porównałbym do przykładu policji, która nie wylapuje wszystkich przestępców. Mamy do czynienia z zupełnie innym problemem. A mianowicie problemem policji, która jest związana z mafiami i prowadzi wojnę z innymi mafiami. To jest problem mocarstw zachodnich, które do dziś wspierają rozmaite dyktatury i parazytne reżimy, nie mniej parazytne niż reżim Kaddafiego czy Asada. Nie widzę żadnego powodu, aby tym mocarstwom przyznawać jakiegokolwiek szczególne prawa czy obowiązki, jeśli chodzi o zagraniczne interwencje. Jedyne wyjście, które niestety w obecnych realiach światowych jest zupełną utopią, to radykalne demokratyczne przekształcenia w społeczności międzynarodowej, budowanie demokratycznych struktur podejmowania decyzji, dzięki którym można by kontrolować tego typu interwencje. Bez tego wszelkie inne formy interwencji odrzucam zdecydowanie. ●

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los dziecka chorego dziecka. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

**KRS: 0000097123**

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

**Twój 1% - mój powrót do domu** [www.hospicjum.waw.pl](http://www.hospicjum.waw.pl)



Bartłomiej Kudowicz/FORUM

# Partnerstwo domowe

Związki partnerskie są dla niektórych nie do przyjęcia, gdyż kojarzą się im z seksem gejowskim i adopcją dzieci. To dość dziwne powiązanie, ale trudno je zmienić. Dlatego proponujemy tytułowe „partnerstwo domowe”

KAZIMIERZ BEM  
JAROSŁAW MAKOWSKI

Dyskusję na temat wątpliwości konstytucyjnych wokół związków partnerskich czy nawet tzw. małżeństw homoseksualnych zaczniemy od prawniczego wstępu. Już student pierwszego roku prawa wie, że dobra definicja ustawowa używa formy czasownika „być”. I tak np. art. 28 konstytucji definiuje hymn, stanowiąc jednoznacznie: „Hymnem Rzeczypospolitej Polskiej jest Mazurek Dąbrowskiego”.

Co najmniej intrygujący na tym tle wydaje się artykuł 18 naszej konstytucji, który w opinii wielu rzekomo definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Przeczytajmy więc ten przepis uważnie: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”. Uderza nie tylko brak czasownikowej formy „jest”, ale także widać wyraźnie, że akcent położono na słowie „jako”. Taki sens, w którym małżeństwo jest wyłącznie związkiem

heteroseksualnym, lepiej oddałby zapis: „Małżeństwo JEST (wyróżnienie nasze - K.B., J.M.) związkiem kobiety i mężczyzny i podlega ono szczególnej ochronie prawnej”. Opisu małżeństwa jednopłciowego takiej kategoriowej formy językowo-prawnej w naszej konstytucji nie ma, a zatem trudno mówić o konstytucyjnej definicji małżeństwa w polskim prawie. Jak zatem odczytywać ten przepis?

Użyteczna dla naszych rozważań może okazać się debata, jaka odbyła się niedawno w Niemczech. Tamtejsza konstytucja w art. 6 ust. 1 stanowi, że „małżeństwo i rodzina cieszą się szczególną ochroną ze strony państwa”. Przepis ten jest podobny, choć nie identyczny z naszym. Gdy w roku 2004 uchwalono w Niemczech prawo dotyczące związków partnerskich (podobne w treści do projektu lewicy), część chadeckich posłów zaskarżyła tę ustawę do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, przedstawiając argumenty podobne do tych, jakie padają obecnie w Polsce ze strony konserwatystów. A mianowicie, że taka formuła jest niezgodna z niemiecką konstytucją, która

chroni małżeństwo rozumiane jako związek mężczyzny i kobiety.

## Kogo chroni konstytucja?

Jaki był wyrok niemieckiego trybunału? Nie zgodził się on ze skarżącymi i utrzymał prawo w mocy. Stwierdził, że sformułowanie zawarte w konstytucji stwarza jedynie obowiązek ochrony różnopłciowych małżeństw, czyli że państwo nie może zrezygnować z ich ochrony prawnej. Trybunał orzekł, że „szczególna ochrona”, o której mówi niemiecka konstytucja, sprowadza się nie tyle do takiej interpretacji przepisu, który wyklucza inne grupy (np. związki jednopłciowe), ale do tego, że państwo nie może nigdy zrezygnować z ochrony prawnej takich związków. Niemiecycy sądziwie uznali, że parlament ma prawo rozszerzyć tę ochronę na inne grupy (np. pary jednopłciowe) i wprowadzić nowe uregulowania dla ich ochrony, nawet identyczne z prawami małżeństw. Nie tylko nie kłóci się to z zapisami konstytucji, ale wręcz wynika z nakazu niedyskryminacji i równego traktowania. Zatem wracając do przepisów

18 polskiej konstytucji: nasza ustawa zasadnicza w art. 18 nie definiuje małżeństwa jako wyłącznie związku kobiety i mężczyzny, ale jedynie wprowadza obowiązek istnienia ochrony prawnej dla małżeństwa różnopłciowego. Jak zatem taką ochronę rozumieć? Tutaj pomocne winny być pomijane w debacie publicystycznej i prawniczej przepisy innych artykułów. W art. 47 konstytucji czytamy: „Każdy ma prawo do ochrony prawnej życia prywatnego, rodzinnego”. Oraz art. 32 ust. 2: „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny”. Jeśli zatem rodzina (a tej, co ciekawe, nasza konstytucja nie definiuje) jest podstawową komórką społeczną, a życie rodzinne podlega ochronie, to mutatis mutandis nikt nie może być dyskryminowany w ochronie życia rodzinnego z jakiegokolwiek przyczyny. W dodatku z najnowszego orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu wyraźnie wynika, że „życie rodzinne” obejmuje także stały związek pary osób tej samej płci - i co warto przypomnieć - wykładnią tą związane są polskie sądy oraz organy prawa.

Przy interpretowaniu przepisów konstytucji powinniśmy zatem nie tylko ryzykownie cytować jeden z nich, w dodatku go przekręcając, ale patrzeć na wszystkie jej przepisy i w oparciu właśnie o nie dokonywać ich wykładni. Ważna jest też, by pamiętać o tym organy stojące na straży praw obywatelskich. Przykładowo Irena Lipowicz, obecna RPO, przyznała w wywiadzie dla tygodnika „Polityka” (13 sierpnia 2010 r.), że polskie prawo wyraźnie wyłącza z ochrony prawnej pewne grupy społeczne, dając tylko parom heteroseksualnym prawo do zawarcia małżeństwa. Choć jest to bulwersujące, RPO nie widzi w tym nic złego i nawet słowem nie wspomniała o art. 32. ust. 2 konstytucji, jakby on nie istniał albo nie miał zastosowania.

## Skąd się biorą dzieci?

Prześledźmy argumenty, podnoszone przeciw związkom partnerskim, mające charakter społeczny. Powiada się, że pary takie nie mogą mieć dzieci, a małżeństwo w Polsce zawiera się w celu prokreacji i stąd przywileje ze strony prawa. Otóż jest to mit niemający żadnego uzasadnienia ani prawnego, ani faktycznego. Ważność małżeństwa w Polsce nie zależy wcale od zdolności rozrodczej małżonków! Po pierwsze, doskonale wiemy, do jak wielu prokreacji dochodzi poza małżeństwem. Po drugie, małżeństwa zawierane w Polsce mogą nie tylko

osoby bezpłodne czy w ogóle nieplanujące mieć dzieci, ale nawet pary w wieku 60 i 70 lat. By być konsekwentnym, ustawodawca powinien wprowadzić testy na płodność dla potencjalnych nupturientów, ale także inną formę prawną dla związków osób starszych oraz dla par, które po np. 10 latach małżeństwa nie mają dzieci: proponujemy określić je „związkami jałowymi”. I zapytajmy brutalnie: jakim konstytucyjnym prawem bezdzietne małżeństwo po 40. roku życia może dziś korzystać z przywilejów, których odmawia się równie bezdzietnej parze jednopłciowej?

Powtórzmy jeszcze raz: obecnie w Polsce, w majestacie prawa, przy błędnej interpretacji art. 18 konstytucji i łamiąc inne, równie ważne, jej przepisy (art. 32. ust. 2, art. 47), państwo polskie mające być demokratycznym państwem prawa (art. 2) bez żadnych racjonalnych przyczyn wyłącza z ochrony prawnej życie rodzinne pewnych osób tylko ze względu na ich orientację seksualną!

„Dlaczego konserwatyści, którzy współczucie mają ponoć wyryte w sercu, nie chcą przyjąć prawa, które pomogłoby matce samotnie wychowującej niepełnosprawne dorosłe dziecko?”

„Dlaczego konserwatyści, którzy współczucie mają ponoć wyryte w sercu, nie chcą przyjąć prawa, które pomogłoby matce samotnie wychowującej niepełnosprawne dorosłe dziecko?”

Jak naprawić tę niesprawiedliwość? Rozumiemy opór, jaki u konserwatywnej części społeczeństwa budzą wszelkie projekty ustawy o związkach partnerskich. Są one dla niej nie do przyjęcia, gdyż - co ciekawe - natychmiast kojarzą się nie tyle nawet ze związkami gejowskimi, ale z seksem gejowskim i adopcją dzieci. Na pierwszy rzut oka to dość dziwne powiązanie, ale trudno zmienić tę nieodpartą siłę skojarzeń. Dlatego proponujemy, by rozwiązania prawne zapewniające wszystkim obywatelom równość i niedyskryminację określić mianem „partnerstwa domowego”. Akcent nie tyle pada tu na partnerstwo, ile na dom. A dom, jak wiemy, dla wszystkich jest ważny. Celem „partnerstwa domowego” jest umożliwienie parom, które ze względu na obecne przepisy Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego nie mogą zawrzeć małżeństwa, dostępu do praw i udogodnień prawnych dziś zastrzeżonych dla małżeństwa. Chodzi nie tylko o pary jednopłciowe,

ale także o starsze, samotne rodzeństwo żyjące ze sobą i prowadzące wspólne mieszkanie. Idzie o dobro matki wychowującej niepełnosprawne dorosłe dziecko etc. Ten projekt nie zajmuje się sprawami pożycia seksualnego czy adopcji dzieci, ale wyłącznie zapewnieniem minimalnej ochrony prawnej osobom, których sytuacja życiowa i osobista nie jest przewidziana w obecnym systemie prawnym.

„Partnerstwo domowe” można by zawrzeć poprzez wypełnienie i złożenie odpowiedniego formularza w urzędzie stanu cywilnego (USC). Zawierać mogłyby go wyłącznie osoby pełnoletnie, stanu wolnego, którym przepisy KRiO nie pozwalają na zawarcie małżeństwa i które nie pozostają w partnerstwie domowym z inną osobą. Po sprawdzeniu danych formularza USC odsyłałby stronom kopię i akt stwierdzający zawarcie PD.

## To nie cywilizacja śmierci

Kto skorzystałby na wprowadzeniu „partnerstwa domowego”? Przykładowo, wspomniane matki wychowujące samotnie dorosłe niepełnosprawne dzieci. Albo dwie siostry żyjące razem. Czy za pomocą takim ludziom także skrywa się homoseksualne lobby, które tylnymi drzwiami chce wprowadzić w Polsce adopcję dzieci? A jeśli nawet skorzystałby z tego projektu pary jednopłciowe, to coż takiego się stanie? Czyż nie są ci ludzie takimi samymi obywatelami? Czyż konstytucja nie mówi, że są równi wobec prawa i winni mieć takie same prawa oraz obowiązki?

Tu nie idzie o żadne „gejowskie lobby”, żadną „bolszewizację” czy „rozmontowywanie” rodziny. Chodzi nam o zapewnienie fundamentalnej równości wobec prawa i przeciwdziałanie dyskryminacji. Rozumiemy, że dla części osób może to być coś nowego, ale przypomnamy, że do 1918 r. kobiety w Polsce nie mogły głosować - i wówczas także ten stan prawny uzasadniano argumentami pseudonaukowymi, religijnymi i historycznymi.

Co więcej, doświadczenia krajów, które wprowadziły takie prawa i których liczba ciągle rośnie, potwierdzają, że nie nastąpiła żadna z katastroficznych wizji snutych dziś przez wieszczów „cywilizacji śmierci” - raczej przeciwnie, powiększył się zakres ochrony prawnej i równego traktowania. A to powinno leżeć na sercu wszystkim obywatelom nowoczesnego, świeckiego, demokratycznego państwa prawa. ●

Kazimierz Bem jest doktorem prawa, pastorem kalwińskim pracującym w USA. Stale współpracuje z Instytutem Obywatelskim  
Jarosław Makowski jest szefem związanego z PO Instytutu Obywatelskiego (www.institutobywatelski.pl)

RADOSŁAW SAWICKI

W trzy miesiące mieszkańcy gminy Mielno zbudowali ruch społeczny, który wygrał pierwsze w Polsce antyatomowe referendum



Demonstracja mieszkańców Mielna przeciwko planom budowy elektrowni atomowej

## Mieszkańcy nie gęsi

Tydzień temu 94 proc. głosujących opowiedziało się przeciw budowie elektrowni jądrowej we wsi Gąski. W referendum wzięło udział aż 57 proc. uprawnionych mieszkańców gminy Mielno. A jeszcze w listopadzie 2011 r. rządowy program jądrowy nie był tematem rozmów w osiedlowych sklepach Gąsek i okolicznych miejscowości.

– Wskazanie przez Polską Grupę Energetyczną naszych Gąsek jako potencjalnej lokalizacji elektrowni jądrowej wyzwoliło w ludziach niesamowitą energię – mówi Agnieszka Neubauer, mieszkanka gminy Mielno i jedna z antyatomowych aktywistek. – Cała nasza gmina to obszar turystyczny, więc kiedy 25 listopada PGE ogłosiła swoje plany, postanowiliśmy się bronić.

Już 30 listopada przeciw elektrowni jądrowej wypowiedzieli się w oświadczeniu radni gminy. Wójt Olga Roszak-Pezala protestowała przeciwko stawianiu władz i mieszkańców przed faktem dokonanym. Mieszkańcy zawiązali komitet, który koordynował akcję informacyjną. Do skrzynek pocztowych wrzucono ulotki, na murach i w witrynach pojawiły się antyatomowe plakaty. Komitet zapraszał do Mielna ekologów i naukowców przeciwnych budowie elektrowni jądrowych. Przeciw

rządowym planom wypowiedzieli się lokalni przedsiębiorcy zrzeszeni w Mieleńskiej Lokalnej Organizacji Turystycznej, a także rybak, lekarze, księża i nauczyciele.

Kiedy ustalono datę referendum na niedzielę 12 lutego, kampania ruszyła ze zdwojoną siłą. Na murach pojawiły się banery nawołujące do uczestnictwa w głosowaniu. W numerze specjalnym „Gazety Mieleńskiej” na ośmiu stronach wskazywano zagrożenia wynikające z ewentualnej budowy elektrowni. Ulotki wrzucano do skrzynek aż do dnia referendum.

– Głosowałam oczywiście na nie – mówi Monika Wieruszewska z Gąsek. – Dzięki spotkaniom, dyskusjom i publikacjom mieszkańcy świadomie poszli do urn. Nie życzymy sobie atomu nie tylko w Gąskach, ale i nigdzie indziej w Polsce.

Dzień po zwycięskim referendum władze gminy podziękowały obywatelom za zaangażowanie i oświadczyły, że oczekują wycofania się PGE z planów budowy w Gąskach. Ale Hanna Trojanowska, pełnomocnik rządu do spraw energetyki jądrowej, w rozmowie z dziennikarzami uznała głos lokalnej społeczności za „zubożenie procesu” wyboru lokalizacji obiektów jądrowych. Według niej mieszkańcy przemówili przedwcześnie.

– Ta skandaliczna wypowiedź pokazuje, jak rząd wyobraża sobie udział obywateli w podejmowaniu ważnych dla nich decyzji – mówi Beata Nowak, ekolożka, redaktorka gazety „Zielone Wiadomości”. – Według rządu konsultacje społeczne to przedstawianie obywatelom już podjętych decyzji oraz oczekiwania ich milczącą akceptację.

Gąski to niejedyne miejsce w Polsce, gdzie ludzie organizują się w antyatomowe komitety. Na początku lutego mieszkańców Choczewa w województwie pomorskim PGE prosiła na prelekcję o ewentualnej budowie elektrowni jądrowej w ich wsi. Mieszkańcy nie chcieli jednak tylko słuchać i zażądali debaty. Kiedy PGE odmówiła dialogu, spotkanie przerodziło się w wiec sprzeciwu wobec atomowych pomysłów rządu. Wzięło w nim udział 200 osób.

Także Jelenia Góra i okoliczne miejscowości wycisnęły na PGE swoje stanowisko. Wypoczątkowo zagrożone są planami uruchomienia kopalni uranu. Lokalne grupy są coraz lepiej zorganizowane i pozostają ze sobą w kontakcie. Na spotkaniu w Choczewie była delegacja z Gąsek. W Gąskach byli aktywiści z Trójmiasta i Warszawy. Na razie PGE przesunęła termin uruchomienia pierwszej polskiej elektrowni jądrowej o pięć lat.

## Nie chcemy atomu w naszym domu

Wydawało się niemożliwe, a jednak! Dawid pokonał Goliata. W lokalnym referendum mieszkańcy i mieszkańcy gminy Mielno sprzeciwili się budowie elektrowni atomowej w Gąskach

AGNIESZKA GRZYBEK

Wynik głosowania cieszy. Mimo ogromnej maszyny propagandowej, pompowania przez rząd milionów złotych w proatomową promocję, społeczność Gąsek, Sarbinowa, Chłopów, Niegoszcz, Mielna, Unieścia i Łaz nie dała się zwieść sielskiej wizji, jaką starał się roztoczyć przed nimi inwestor – Polska Grupa Energetyczna (PGE), który dla zachęty funduje mieszkańcom nadmorskich miejscowości turystyczne wyjazdy do francuskich reaktorów jądrowych.

Mimo uporczywie powtarzanej przez rząd mantry, że energia jądrowa rozwiąże wszystkie nasze problemy związane z niedoborem energii, zapewni bezpieczeństwo energetyczne i niezależność od dostaw paliw kopalnych z Rosji, ludzie stawiają coraz więcej niewygodnych pytań: jakie będą całkowite koszty inwestycji, uwzględniające demontaż i utylizację elektrowni atomowej, a także koszty ubezpieczenia? Co z odpadami radioaktywnymi, które trzeba składować ponad 100 tys. lat? Jakie będą rzeczywiste koszty ekologiczne i społeczne? Jak lokalizacja elektrowni w regionie nadmorskim wpłynie na lokalną gospodarkę, której podstawą są dochody z turystyki? Czy nie zniszczy morskiego ekosystemu, skoro permanentnie do morza będzie odprowadzana podgrzana woda, czerpana stąd wcześniej do chłodzenia reaktorów?

Wynik referendum nie powinien dziwić, skoro decyzja o pchnięciu Polski na nuklearną ścieżkę rozwoju zapadła ponad głowami społeczeństwa, z pominięciem rzetelnej debaty i szerokich konsultacji. Od czasów udanego protestu przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu, kiedy to w 1990 r. rząd Tadeusza Mazowieckiego wycofał się z decyzji podjętej jeszcze w stanie wojennym

przez gen. Jaruzelskiego, wydawało się, że „atomowe piekło” nam nie grozi.

Jako pierwszy sen o państwie atomowym zaczął śnić Jarosław Kaczyński w swoim exposé, kiedy obejmował urząd premiera. Dwa lata później rozmarzył się Donald Tusk. Scenariusze miksu energetycznego uwzględniającego energię wyprodukowaną w elektrowniach atomowych zawierał raport „Polska 2030”, jak i program „Polityka energetyczna Polski do 2030 roku”, przyjęty w listopadzie 2009.

Proces decyzyjny nabrał tempa po spotkaniu premiera Tuska z prezydentem Francji Nicolasem Sarkozym w grudniu 2008 r. Wróble na dachu ćwierkają, że w zamian za zakup technologii jądrowej od Francuzów uzyskaliśmy poparcie dla naszych zastrzeżeń wobec pakietu klimatyczno-energetycznego Unii Europejskiej. Obowiązek kupowania 100 proc. zezwoleń na emisję CO<sub>2</sub> odroczone do 2020 r.



Nawet katastrofa w Fukushima nie odwróciła rządu od raz powziętej decyzji. Kiedy przez Europę przetaczały się wielotysięczne manifestacje przeciwko elektrowniom atomowym (w Berlinie protestowało 100 tys. osób), kiedy Niemcy i Szwajcaria ogłosiły rezygnację z energetyki jądrowej, a Włosi w ogólnokrajowym referendum zdecydowali, że nie chcą u siebie atomówek, u nas w zabójczym tempie nowelizowano prawo atomowe. Zupełnie jak za czasów rządów PiS ustawę medialną.

Proces konsultacji społecznych okazał się fikcją, skoro na przedstawienie opinii do ponadtysięcznicowego dokumentu – strategicznej oceny oddziaływania na środowisko polskiego programu energetyki jądrowej – przeznaczono pierwotnie miesiąc, w którym większą część zajmuje bożonarodzeniowa przerwa świąteczna. Niepokornych się ucisza. Dymisją ze stanowiska szefa Państwowej Agencji Atomistyki zapłacił prof. Michał Waligórski po tym, jak wytknął poważne braki powyższemu dokumentowi: niespójność, lekceważenie zaleceń Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej i brak konsultacji społecznych.

Na ironię zakrawają komentarze PGE, która ubolewa, że do referendum doszło, zanim zdołała przeprowadzić „konsultacje społeczne”, a do urn poszły osoby niedoinformowane. Konsultacje w wydaniu PGE polegały na odmawianiu udziału w debatach, jeżeli mieliby wziąć w nich udział eksperci wskazujący na ryzyko związane z inwestowaniem w energetykę atomową.

Wyniki referendum w Mielnie to pierwsze poważne ostrzeżenie. Polki i Polacy nie chcą drogiej, przestarzałej i niebezpiecznej technologii jądrowej, zwłaszcza że są alternatywą (energetyka odnawialna). A kolejne referendum już wkrótce.

Agnieszka Grzybek jest współprzewodniczącą Zielonych

Wkrótce bez pracy zostanie 145 tys. unijnych rybaków oraz drugie tyle ludzi zatrudnionych w przetwórstwie. Chyba że u radykalnie zmieni swoją politykę rybacką

Bertrand Desprez/AGENCE VU/AGENCIA GAZETA

# Eurobezrybie

Jeśli nie dojdzie do radykalnych zmian w unijnym rybołówstwie, nasze wnuki nie poznają smaku ryb z europejskich mórz

MACIEJ JARKOWIEC

Legenda głosi, że kiedy John Cabot dobijał do brzegów Nowej Fundlandii w 1497 r., wody wokół wyspy były tak gęste od ryb, że jego statek utknął w nich, jakby osiadł na mieliźnie. Gdy opowieści Cabota dotarły do Starego Świata, Nowa Fundlandia na całe stulecia stała się ziemią obiecaną dla osadników zjeżdżających tam, żeby zbić fortunę. Nie na złocie, tylko na dorszu. Pierwotni mieszkańcy wyspy, Beothukowie, zostali wypchnięci z wybrzeża w interior i wyginęli pozbawieni swojego

tradycyjnego pożywienia - ryb. W roku 1992 skończyły się one jednak również dla potomków osadników. Nowofundlandzki dorsz przestał istnieć. Kutry wracały z połowów puste, aż rząd Kanady zamknął marte łowiska, likwidując tym samym cały przemysł. Pracę straciło ponad 40 tys. ludzi. Dziś europejskie morza i rybacy stoją na krawędzi przepaści, w którą 20 lat temu runęła Nowa Fundlandia.

## Chciwość i głupota

Reformowanie Wspólnej Polityki Rybackiej (WPRyb), za co wzięła się komisarka do spraw

rybołówstwa Greczynka Maria Damanaki, ma potrwać do końca 2013 r. Damanaki zapowiada walkę z rybackimi kartelami, ograniczenie wyniszczających ekosystemy metod odławiania i surowe limity połowów. Od jej skuteczności w dużym stopniu zależy, czy europejskie morza nie zamieniają się w pozbawione ryb, za to pełne meduz bajora i czy pracy nie straci prawie 145 tys. unijnych rybaków oraz drugie tyle ludzi zatrudnionych w przetwórstwie (dane Eurostatu). Już w 2006 r. magazyn „Science” donosił, że jeśli nic się nie zmieni, za 40 lat europejskie akweny będą puste. Jak wynika

z raportu Trybunału Obrachunkowego UE, który wylądował właśnie na biurkach europosłów, 90 proc. żywych zasobów mórz Unii jest ogołaczanych przez nadmierne połowy. Jeden z najbardziej dramatycznych przykładów to tuńczyk błękitnopłetwy, którego migracja z Atlantyku do Morza Śródziemnego przez trzy tysiące lat zapewniała byt społeczności rybackim znad Cieśniny Gibraltarskiej. W ostatnich 20 latach jego populacja zmniejszyła się o 80 proc.

Takich miejsc jak Gibraltar jest w Europie więcej. Wspomniany raport szacuje, że aby ratować sytuację, powinno się natychmiast zamknąć co trzecie łowisko. Jak pokazuje przykład Nowej Fundlandii - gdzie do dziś stad dorszy nie udało się odnowić - wkrótce może być za późno. Larry Tremblet, nowofundlandzki rybak, cytowany w książce Charlesa Clovera „End of the Line”, radzi: „Podejmujcie drastyczne kroki od razu. [...] My nie robiliśmy nic do samego końca. Nasze rybołówstwo zniknęło przez chciwość i głupotę”.

Unia jednak z natury ma problem z szybkim reagowaniem, a chciwość i głupota rządzą europejskim rybołówstwem, od kiedy na wodach pojawiły się pierwsze pływające przetwornice, czyli od lat 60. XX w. To bowiem technologia odmieniła rybactwo, z romantycznego zawodu uprawianego z dziada pradziada przekształcając je w wielomiliardowy biznes pod kontrolą międzynarodowych konglomeratów. W największą z używanych dziś sieci rybackich, ciągnanych po dnach oceanów przez supernowoczesne trawlerzy, można by upchnąć 22 odrzutowce. W takie sieci poza poławianymi rybami dostaje się wszystko - poczynając od zagrożonych gatunków zwierząt, jak żółwie i rekiny, na korlawcach i gąbkach kończąc.

W najnowszej publikacji o stanie europejskich łowisk Greenpeace porównuje połowy przy użyciu takich metod do zbierania jagód w lesie za pomocą buldożerów. Pierwsze trawlerzy zwodowane w Europie pod koniec lat 50. miały 40 m długości, dzisiejsze dochodzą do 140, ryby są na nich przetwarzane i mrożone w ładowniach o pojemności ponad sześć tysięcy ton. Na wyposażeniu rybaków mają sonary i sprzęt satelitarny namierzający ławice. Ekologowie nazywają takie jednostki posięć w pozbawione ryb, za to pełne meduz bajora i czy pracy nie straci prawie 145 tys. unijnych rybaków oraz drugie tyle ludzi zatrudnionych w przetwórstwie (dane Eurostatu). Już w 2006 r. magazyn „Science” donosił, że jeśli nic się nie zmieni, za 40 lat europejskie akweny będą puste. Jak wynika

z Holandii, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Litwy. To między innymi naciski takich potentatów na Brukselę i rządy krajowe sprawiają, że Wspólna Polityka Rybacka jest jedną z największych unijnych klęsk.

## Resztki z delfinów

„Stan europejskich łowisk nie jest wynikiem katastrofy naturalnej, tylko efektem tego, że WPRyb pozwoliła rybackiemu lobby na infiltrację politycznego systemu Unii” - napisał w „Nature” (czerwiec 2011) maryniści z Uniwersytetu w Kolonii Rainer Froese. Patrząc na statystyki, trudno nie przyznać mu racji. Głównym zadaniem powołanej w 1983 r. WPRyb było ustalanie kwot połowowych - przy współpracy z rybakami i naukowcami - tak aby utrzymać wysoki stan ławic w europejskich akwenach, nie odbierając pracy rybakom, i dostarczać ryby w sensownych cenach na europejskie stoły. Nic z tego się nie udało. Ryb już prawie nie ma, są drogie jak nigdy wcześniej, a w latach 2002-2011 ponad 31 proc. rybaków straciło pracę (Eurostat).

Dane pokazują, że urzędnicy nie słuchają naukowców, tylko lobbystów. W latach 1987-2011 kwoty wyższe od rekomendowanych ustalano w 68 proc. przypadków. Rekordowy limit na jeden z gatunków morskiczka był o 1100 (słownie: tysiąc sto) proc. większy, niż proponowali maryniści. Wieloletnie przełowienie sprawiło, że gatunki przestały się reprodukcować, bo do sieci trafiają zbyt młode ryby. Innym przykładem kuriozów zapisanych we Wspólnej Polityce Rybackiej niech będzie to, że najmniejsze dopuszczalne oczka w sieciach są o wiele mniejsze od najmniejszych ryb, jakie można legalnie łowić. W ten sposób tony martwych ryb trafiają z powrotem za burtę z powodu biurokratycznej głupoty. Jak twierdzi Greenpeace, tak zwany przyłów - czyli wszelkie stworzenia, które trafiają do sieci „przypadkowo” i są wyrzucane - stanowi często 80 proc. połowu. Każdego roku siedem milionów ton martwych resztek - ryb, skorupiaków, ptaków morskich i delfinów - ładuje za burtą.

## Iskierki nadziei

Naukowcy powtarzają, że rozwiązanie problemu jest banalnie proste: trzeba przez jakiś czas łowić dużo mniej niż dziś, żeby potem można było łowić dużo więcej. Według obietnic komisarza Damanaki odnowienie łowisk może zapoczątkować połowami nawet o 80 proc. większymi od dzisiejszych i wzrostem zatrudnienia na łodziach już od 2017 r. Magdalena Figura z Greenpeace wyjaśnia obrazowo: - Jeśli w jeziorze mamy trzy szczupaki

i złowimy wszystkie trzy, nie zostanie nic. Ale możemy przez pewien czas łowić tylko jednego. Kiedy w jeziorze znów będzie ich tysiąc, nie zagrozimy populacji, nawet jeśli złowimy sześć - a zanotujemy wzrost o 100 proc. Stan europejskich łowisk jest właśnie w tak opłakanym stanie, że mamy trzy szczupaki, choć powinniśmy mieć tysiąc.

Niezależna brytyjska organizacja New Economics Foundation (NEF) przebadła 43 europejskie akweny i wyliczyła, że ich uzdrowienie dałoby dodatkowe 3,5 mln ton ryb rocznie. Można by nimi nakarmić 155 mln Europejczyków (według dzisiejszego zapotrzebowania na ryby w UE), a rybacy i przemysł rybny zarobili by trzy miliardy euro, czyli pięć razy więcej, niż wynoszą unijne subsydia dla branży. O tym, że NEF nie bierze liczb z powietrza, przekonuje przykład Nowej Zelandii, gdzie przed laty wprowadzono restrykcyjne limity, z czasowym zamykaniem łowisk włączanie. Dziś ryb w nowozelandzkich wodach jest w bród, rybacy się bogacą. Wątpliwe jednak, żeby w Europie udało się przeforsować zamykanie łowisk. Tak radykalna propozycja nie znalazła się nawet w planie reformy WPRyb.

Nadzieja w tym, że ockną się sami rybacy. Wielu z nich zaczyna rozumieć, że przetrzebienie morza, piłują gałąź, na której siedzą. Jacek Schomburg, wiceszef Zrzeszenia Rybaków Morskich reprezentującego jedną czwartą z 2400 polskich rybaków, nie ma zastrzeżeń do tegorocznych limitów na bałtyckiego dorsza. - Współpracujemy z Unią i naukowcami. Nie zależy nam na odłowieniu wszystkiego w kilka lat, tylko na tym, żeby Bałtyk był zawsze pełen ryb - mówi Schomburg. - Sytuacja ekonomiczna naszych rybaków jest dobra.

Inna organizacja, Związek Rybaków Polskich, nazywa limity głodowymi i w styczniu w proteście zablokowała na kilka godzin jedną z głównych ulic Gdańska. Ale odpowiedzialnych grup, takich jak Zrzeszenie, jest w Europie coraz więcej i kilkanaście łowisk szybko się odbudowuje - między innymi dorsz w Bałtyku i w Morzu Irlandzkim czy śledź w Morzu Celtaickim.

Jeśli chodzi o nas, zwykłych zjadaczy ryb, to pozostaje nam przywyknąć do tego, że za zdrową morską rybą (nienafaszerowaną hormonami, jak te hodowlane) trzeba słono płacić. - Ryby to ostatnie zwierzęta pozyskiwane masowo w środowisku naturalnym - przypomina Figura. - Sprawdzajmy ich pochodzenie, kupujemy legalne, bałtyckie i nie narzekajmy na ceny. Tak jak nie narzekamy, że drogie jest mięso z dzika.

# Skansen węglowo-łupkowy

Pośród zgiełku o ACTA rząd przepycha ustawę o odnawialnych źródłach energii, która - jeśli wejdzie - spowolni rozwój tego sektora na lata

MACIEJ MUSKAT

**S**ądząc z artykułów takich jak ten z niedawnej „Rzeczpospolitej”, energia odnawialna dysponuje lobbieniem godnym masonów, jest droga i utrzymuje się jedynie dzięki subsydiom. Zaczniemy więc od pytania - o ile więcej subsydiów dostaje owa energetyka w stosunku do energetyki konwencjonalnej? Ups. Tak się składa, że jest odwrotnie. Węgiel, gaz, ropy i atom w zeszłym roku dostały globalnie 12 razy więcej subsydiów niż energetyka odnawialna. I to nie według Greenpeace, ale Bloomberga - agencji specjalizującej się rynkach finansowych.

Co więcej, w tym przypadku nie brano pod uwagę tzw. subsydiów pośrednich - na przykład kosztu zanieczyszczenia powietrza czy wody oraz kosztów wojen i utrzymywania wojsk w krajach „roponośnych”. Polski rząd najwyraźniej wierzy bez sprawdzania tym, których interes polega na trzymaniu nas w węglowo-łupkowo-atomowym skansenie, podczas gdy w Europie Zachodniej rozpoczęła się autentyczna rewolucja energetyczna. W 2010 r. więcej pieniędzy zainwestowano na świecie w nowe projekty energetyki odnawialnej niż w te napędzane gazem, ropą i węglem. U nas za to przygotowano projekt prawa o odnawialnych źródłach energii (OZE), którego głównym beneficjentem będzie... energetyka węglowa. Przedstawiło go Ministerstwo Gospodarki.

Obecnie zakończył się proces konsultacji społecznych - teraz rząd ma przeanalizować ich wynik. Większość z ekspertów jednak odniosła się krytycznie do proponowanych zapisów. Lektura projektu ustawy prowadzi do dość paradoksalnego wniosku - jego wdrożenie wzmocni pozycję węglowych koncernów energetycznych kosztem środowiska naturalnego. Przykład - w wielu miejscach na świecie systemy wsparcia energii odnawialnej zapewniają gwarantowaną cenę energii, po której będzie następował jej odbiór. Dotychczasowe prawo zawierało taki zapis - w nowym jednak go nie ma, z wyjątkiem tzw. mikroźródeł. Innym zagrożeniem jest brak zapisów gwarantujących zakup energii ze źródeł odnawialnych - ich usunięcie wprowadza dodatkowy element



Piotr Wittman

ryzyka dla inwestorów, który może doprowadzić do załamania się rynku. Aby małe i średnie firmy produkujące energię odnawialną mogły się rozwijać, koniecznością jest przywrócenie dotychczasowej regulacji.

Nowy akt prawny nie tworzy również podstaw dla stabilnego rozwoju mikroźródeł, czyli małych elektrowni wiatrowych, słonecznych, wodnych czy biogazowych, których moc zwykle nie przekracza 50 kW. To właśnie one będą w przyszłości podstawą dla tzw. sieci rozproszonej, która przyłączona do super-sieci ogólnoeuropejskiej pozwalałaby utrzymać stabilność i niezależność od utrzymywania mocy zapasowych, np. w formie elektrowni gazowych. To właśnie takimi rozwiązaniami powinna być zainteresowana większość z nas - dzięki nim blackouty przestałyby być straszne, a nadwyżkę produkowanej energii moglibyśmy sprzedawać do sieci.

Przedstawiony projekt gwarantuje zakup energii z mikroinstalacji za kwotę wartą jedynie 70 proc. ceny energii z roku ubiegłego, co jest irracjonalne - cena zakupu energii z mikroźródeł jest zbyt niska w stosunku do ceny za energię z innych źródeł. Rozwiązaniem stosowanym z powodzeniem w innych krajach są tzw. taryfy feed-in, które redukują poziom

niepewności wśród potencjalnych inwestorów oraz otwierają możliwość rozszerzenia zasad wsparcia na małych producentów - tzw. prosumentów. Według coraz liczniejszych ekspertów wszystkie rodzaje mikroinstalacji powinny uzyskać nie tylko ustawowo zagwarantowany dostęp do sieci elektroenergetycznych, ale również powinny zostać objęte systemem ulg i zwolnień podatkowych. Rozwiązania tego typu oraz tak szerokie preferencje mają nie tylko ekologiczny, ale również ekonomiczny sens - tworzą miejsca pracy w tym sektorze, który ma przed sobą przyszłość.

Jednak największą wadą rządowego projektu jest fakt, że brak realnego wsparcia dla mikrogeneracji oraz dla innych technologii OZE prowadzi do sytuacji, w której ustawa może stworzyć dogodne warunki dla rozwoju współspalania biomasy z węglem w dużych elektrowniach konwencjonalnych będących własnością największych firm na polskim rynku. W jego wyniku, poza zanieczyszczeniami związanymi z dalszym spalaniem węgla, zwiększa się presja na pozyskanie tzw. biomasy leśnej (obecnie ponad połowa biomasy spalanej w Polsce). Jednocześnie import biomasy (również z innych kontynentów), który przez ostatnie trzy lata wzrósł o 34 proc., powoduje wzrost kosztów związanych z transportem. Projekt ustawy zakłada ciągle bardzo wysoki poziom wsparcia ze środków publicznych dla produkcji energii w tej technologii. Wydaje się, że zdaniami rządu mamy dużo lasów, więc będziemy dotować ich spalanie w kotłach węglowych. Tak zabraknie - dorzucimy biomasę przywiezianą z Afryki. Dodatkowo należy podkreślić, że nie generuje to nowych mocy i nie zwiększa bezpieczeństwa energetycznego kraju, dlatego utrzymywanie wsparcia dla tej technologii jest nieracjonalne - powinno zostać zlikwidowane.

No i na deser - ustawa nie ma w ogóle określonych celów ekologicznych, ekonomicznych i społecznych. Nul, zero. Być może dlatego, że zapis „celem ustawy jest przetrwanie status quo i wielkiej energetyki opartej na paliwach kopalnych”, choć uczciwy, wydawał się słaby marketingowo.

Maciej Muskat jest dyrektorem Greenpeace Polska

# Szwendacze nad Morzem Egejskim



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu jest socjologiem

**C**hyba idzie wiosna, bo stacja AMC wznowiła emisję drugiego sezonu „The Walking Dead”. Świetnie zrobiony, trzymający w napięciu serial, ale też głos w debacie o obecnej kondycji ludzkości. Serial opowiada o świecie opanowanym przez zombie („szwendaczy”), w którym garstka ocalałych z apokalipsy próbuje za wszelką cenę przetrwać. No może niekoniecznie za wszelką. Niektórzy z nich mają mniej, inni więcej skrupułów, dzięki czemu serial daje niezły obraz świata po katastrofie, pokazując dylematy ludzi, którzy w całkowicie odmiennych warunkach usiłują nie tylko żyć, ale też żyć po staremu. Jeśli nie intelektualna uczta, to w każdym razie smakołyk.

Przypuszczam jednak, że tym, co przyciąga przed szklany ekran miliony widzów, są nie tylko intelektualne zainteresowania. „The Walking Dead” doskonale wyraża charakterystyczny dla czasów kryzysu lęk przed społeczną degradacją. Miliony Amerykanów i Amerykanek, którym przez lata pozwalano wyobrażać sobie, że są klasą średnią, dziś muszą odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

Serial o zombie, przy całej potworności, może być wygodną fantazją ucieczkową. Dostarcza gotowych schematów rozumienia sytuacji. Każdy może stać się szwendaczem, szwendacz nie jest „winny” swojemu położeniu, ale nie zmienia to faktu, że stanowi zagrożenie dla ludzi i musi być zlikwidowa-

ny. Jedyną przyczyną powstawania nowych zombie są zombie, a jedynym sposobem na powstrzymanie epidemii jest ich unicestwienie. Tym sposobem lęk przed degradacją zamienia się w lęk przed zdegradowanymi, który z kolei wzmacnia przywiązanie do starego sposobu życia i lęk przed zmianą społeczną, a zarazem uzasadnia masakrę. Jeden mój znajomy powiedział, że to fantazja o „dobrym ludobójstwie”.

No dobrze, serial to tylko serial i nie ma co wyciągać zbyt daleko idących wniosków. W dniu, w którym AMC wznowiła jego emisję, mieliśmy do czynienia z nową odsłoną dramatu pt. „Kryzys zadłużeniowy w Europie”. Przy protestach ateńskiej ulicy oraz naciskach Unii Europejskiej i Międzynarodowego Funduszu Walutowego grecki parlament przyjął kolejny pakiet oszczędnościowy, mający uchronić kraj przed bankructwem. Grecja jako państwo znajdowała się przez ostatnią dekadę w imadło podobnego mechanizmu co miliony Amerykanów: narastający deficyt bilansu handlowego i zarazem niższe koszty kredytu, który kompensował jego skutki. Do czasu, aż nadszedł kryzys i UE w zamian za gwarancje dla greckich kredytów żądała oszczędności.

Sytuacja społeczna w Grecji jest sama w sobie tematem na serial. I nie myślę tu tylko o epickich scenach zamieszek z kłębami gazu pieprzowego. Można by pokazać długie kolejki przedstawicieli klasy średniej ustawiających się po darmowy posiłek - colę light i ziemniaczane purée w plastikowym naczyniu - rozdawany przez ateńską placówkę Lekarzy Świata. Głód stał się już w Grecji codziennością. Jak mówi w reportażu Maria Malagardis w „Libération”, „zwróciłam na to uwagę, gdy do gabinetu trafiło pierwsze, później drugie, wreszcie dziesiąte chore dziecko z pustym brzuchem” (cyt. za portalem Presseurop.eu).

Europejska pomoc dla Grecji ma jednak nie tylko takie skutki. Drugą stroną kryzysu jest autonomia i solidarność: uprawianie warzyw na własne potrzeby, kooperatywy transportowe, społeczne centra medyczne i kawiarnie,

wymienianie się w naturze dobrami, takimi jak żywność czy ubrania. Tam, gdzie nie ma pieniędzy, odradza się gospodarka naturalna.

Te kłopoty nie mają przejściowego charakteru. Narzucana Grecji polityka uruchamia spiralę, która może prowadzić tylko w dół. Już jesienią zwracał na to uwagę „Financial Times”, ostrzegając, że efektem drastycznych oszczędności będzie zostawienie w Grecji „spalonej ziemi”, co w żaden sposób nie pomoże rozwiązać problemów strefy euro. Zgodnie z prognozą MFW nawet jeśli kraj ten spełni wszystkie żądania, to w przewidywalnej przyszłości nie odzyska finansowej samodzielności. Kolejne pakiety cięć chronią przed natychmiastowym bankructwem, ale upadek Grecji w dłuższym okresie wydaje się nieuchronny.

Dlaczego więc nie od razu? Dlaczego greccy politycy tłumaczą się przed premierem Luksemburga zamiast przed własnymi wyborcami? Dlaczego nie staną po stronie ludzi, ogłaszając upadłość, tak jak to zrobiła Argentyna przed dziesięć laty? Bankructwo to oczywiście tylko pierwszy krok do uzdrowienia sytuacji, ale krok niezbędny, by w ogóle myśleć o zmianie polityki. Powinno temu towarzyszyć, tak jak to było w Argentynie, wsparcie dla tworzenia przez ludzi walut lokalnych, niezależnych od kaprysów globalnego rynku. Oraz realne kroki na rzecz zrównoważenia budżetu: obcięcie wydatków na armię czy reforma systemu podatkowego (przed kryzysem 20 proc. najlepiej zarabiających Greków praktycznie nie płaćło podatku dochodowego!).

Bankructwo Grecji byłoby dla Europy szokiem, ale tylko taki wstrząs może przynieść otrzeźwienie. Może dzięki temu zamiast rojeń o dyscyplinie fiskalnej Europa zdobyłaby się na realną politykę solidarności? Może by wprowadziła mechanizmy zapobiegające powstawaniu długoterminowych dysproporcji w wymianie handlowej między krajami członkowskimi? Na razie wygląda jednak, że wszyscy chcą grać w tę samą grę, którą już znają. Aż do następnej odsłony greckiego dramatu. I następnego odcinka „The Walking Dead”. ●

# Rewolucje Boniego papierowe, bo lewicowe?

Druga edycja „Polski 2030” przypomina manifest programowy zachodnioeuropejskiej partii socjaldemokratycznej. Czy i jaka opozycja jest w stanie podjąć rękawicę wizji politycznej?



Minister Michał Boni prezentuje raport „Polska 2030”, Warszawa, Biblioteka Uniwersytecka

BARTŁOMIEJ KOZEK

Prezentacja „Polski 2030” w czerwcu 2009 r. była wydarzeniem ze wszechmiar symbolicznym. Premier Donald Tusk w nowoczesnej Bibliotece Uniwersyteckiej Warszawskiej przekonywał zgromadzonych, że transformacja właśnie się skończyła. Polska gospodarka i społeczeństwo przeszły już drogę od realnego socjalizmu do kapitalizmu i są gotowe na nowe otwarcie. Michał Boni został przy tej okazji okrzyknięty wizjonerem, wznoszącym się ponad codzienne polityczne utarczki i z troską patrzącym w przyszłość. Ta zaś – mimo wielu poniesionych

przez społeczeństwo wyrzeczeń – wcale nie musi być świetlana.

Przekaz pierwszej edycji „Polski 2030” był jasny: albo będziemy dalej robić „niezbędne reformy”, albo pogrążymy się w „dryfie rozwojowym”, zaprzeczając dotychczasowe osiągnięcia. Rozwój zapewnić miało przyjęcie „modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego”, czyli skupienie inwestycji publicznych w kilku ośrodkach metropolitalnych, w nadziei na to, że ich sukces będzie promieniować na coraz szersze połacie kraju.

Postulaty raportu odzwierciedlały staroświecką wiarę w „skapywanie bogactwa w dół”, już w momencie jego publikacji poważnie nadzarpniętą. Państwo dobrobytu uznano w nim za obciążenie dla rozwoju, za jeden z wzorów do naśladowania – rozpadającą się właśnie pod wpływem spekulacyjnej bańki na rynku nieruchomości gospodarce Irlandii.

Pierwszą edycję „Polski 2030” dobrze skomentowała twórczyni Think Tanku Feministycznego Ewa Charkiewicz w ekspertyzie dla polskiego biura Fundacji Heinricha Bölla: „Według neoliberalnych strategów najbardziej palącym problemem Polski nie jest wyrównanie szans, zapewnienie bezpieczeństwa egzystencjalnego wszystkim mieszkańcom kraju, nakarmienie 700 tys. głodnych dzieci w Polsce, dobra jakość i powszechny dostęp do ochrony zdrowia, redukcja presji na środowisko czy zapewnienie trwałych podstaw do życia kolejnym pokoleniom. Główny problem to cywilizacyjny dryf, spowodowany niewłaściwymi postawami ludzi czy brakiem właściwej strategii komunikowania przez władze problemów rozwojowych”.

## Skręt w lewo z przeszkodami

Kogoś, kto ma w pamięci dokument, który stał na urynkowienie i komercjalizację edukacji wyższej, w którym drogi stawiano wyżej niż koleje, a starą, scentralizowaną energetykę wyżej niż efektywność energetyczną i energię ze źródeł odnawialnych, lektura drugiej edycji „Polski 2030” może zaskoczyć. Momentami wydaje się, że czytamy manifest programowy jakiejś zachodnioeuropejskiej partii socjaldemokratycznej. I choć już zeszłoroczny program wyborczy Platformy Obywatelskiej miał być wizytówką transformacji partii rządzącej w „nowe centrum”, to jednak pewne elementy „raportu Boniego” wydają się na polskim gruncie zgoła rewolucyjne.

Uznanie wydatków na usługi publiczne, takie jak edukacja czy ochrona zdrowia, za promodernizacyjne, dążenie do poprawy ich finansowania, rozbudowany program dla

obszarów wiejskich, promujący kwestie tak ważne dla zrównoważonego rozwoju kraju jak tworzenie nowych, zielonych miejsc pracy (od agroturystyki po energetykę odnawialną), a nawet krytyka „hojnej” dla pracodawców obniżki składki rentowej – to wszystko stwierdzenia, które jeszcze do niedawna nie kojarzyły się z PO.

Umożliwienie łączenia pracy z otrzymywaniem zasiłków ma zapobiec powstawaniu sytuacji, w których ludzie podejmujący pracę „karani” są obniżką dochodów. Pozytywne wrażenie robi także przyjęcie jako jednego ze wskaźników postępu cywilizacyjnego kraju Wskaźnika Rozwoju Społecznego (HDI – Human Development Index), mierzącego nie tylko aktywność ekonomiczną, ale i jakość życia. W 2030 r. cieszyć się mamy zarówno ze scyfryzowanych publicznych zasobów edukacyjnych i kulturalnych – od książek po filmy i seriale, jak i z dojazdu w ciągu godziny do najbliższego miasta wojewódzkiego. Niezależnie od scenariusza rozwoju rynku energetycznego w Polsce źródła odnawialne mają mieć w nim większy udział niż energetyka jądrowa.

Idylla? Niekoniecznie. Mimo zmian sięgających aż po używanie żeńskich końcówek podstawa wizji przyszłości firmowanej przez Michała Boniego nie zmieniła się zasadniczo. Nie wycofano się z nazwania proponowanego modelu „polaryzacyjno-dyfuzyjnym”, choć istotnie rozszerzono liczbę miast mających być biegunami rozwoju. Nadal jednym z zagrożeń miałoby być „państwo nadopiekuńcze” przeciwstawiane „pomocnemu”. Choć do miar sukcesu zaliczono zwiększenie do roku 2030 wskaźnika zatrudnienia w grupie wiekowej 15–64 do poziomu 75 proc., trudno – poza ogólnikowymi deklaracjami o wsparciu i deregulacji oraz zwiększeniu inwestycji na badania i rozwój – doszukać się źródeł tego wzrostu.

W polityce fiskalnej promuje się liniowy podatek od dochodów osobistych, a strukturę podatków wyraźnie podporządkowuje międzynarodowej konkurencyjności kosztem zmniejszania nierówności dochodowych. Co więcej – wraca się do dawnego pomysłu PO jednolitej stawki VAT, tłumacząc to faktem, że osoby uboższe w niewielkim stopniu korzystają z dóbr objętych dziś stawką obniżoną, jak np. książki, transport czy kultura. Brak refleksji na temat tego, że być może już teraz barierą dla uboższych są wysokie ceny.

Nie dostrzega się również możliwości, jakie daje obniżona stawka VAT (o to, które produkty mogą być nią objęte, należy walczyć →

→ na szczeblu europejskim) w promowaniu korzystania z produktów i usług dających wymierne korzyści społeczne czy ekologiczne, takie jak udział w kulturze czy kupno energooszczędnych urządzeń RTV i AGD. Choć proponuje się odciążenie osób mało zarabiających poprzez podwyższenie limitu kosztów uzyskania przychodu i/lub kwoty wolnej od podatku, to już w symulacjach budżetowych dochodów nie uwzględnia się tych rozwiązań. W efekcie otrzymujemy politykę ekonomiczną, która nie umożliwia walki z rosnącym – ten fakt dostrzegają także autorzy „Polski 2030” – problemem rozwarstwienia społecznego.

Z raportem przygotowanym przez ekipę Boniego jest jeszcze jeden problem. Nawet słuszne postulaty mogą pozostać przy obecnej polityce rządu PO-PSL na papierze. Cóż bowiem z tego, że za jedną z kluczowych decyzji uznaje się „Wprowadzenie warunków prawnych, organizacyjnych i finansowych (...) dla wzmacniania postaw związanych z otwartością, aktywnością społeczną, zdolnością do współpracy, wzrostem zaufania, poprzez praktykę działania administracji publicznej, współpracę i wzmacnianie finansowe i instytucjonalne organizacji pozarządowych, promocję zachowań prospołecznych i aktywności obywatelskiej”, skoro tylko w ciągu ostatniego miesiąca mieliśmy kłótnie z lekarzami o odpowiedzialność prawną za sprawdzanie ubezpieczenia pacjentów oraz z internautami o podpisanie ACTA? To przykład znaczący, dotyka bowiem mało kontrowersyjnego – wydawać by się mogło – działania, jakim jest poważne traktowanie obywateli i obywateli.

### W poszukiwaniu alternatyw

Czy inne siły polityczne mają odpowiedź na tę wizję? Z pewnością nie powinny jej lekceważyć. Jak dotąd Michał Boni i jego współpracownicy przedstawili najbardziej kompletny projekt długofalowego rozwoju kraju. O ile wydanie sprzed trzech lat można było odrzucać w całości jako przebrzmiałą neoliberalną fantazję, o tyle już druga edycja zawiera wiele wartych rozważenia pomysłów.

Sam fakt braku alternatywnej propozycji obnaża intelektualną słabość głównych sił opozycyjnych. Choć w zeszłorocznych wyborach zarówno PiS, jak i SLD mogły pochwalić się obszernymi programami, to jednak nie udało im się spaść swoich postulatów w przekonującą narrację na temat przyszłości. Bezradność SLD w obliczu pytań o źródła finansowania hojnych postulatów socjalnych była tu bardzo znacząca. Ruch Palikota, przyjąwszy inną strategię, swoją bardzo skromną listę postulatów

ubrał w szaty całościowej wizji „nowoczesnego państwa”. Wizję, która w mniej wyrazistej obyczajowo formie jest w zasadzie niemal w całości obecna w „Polsce 2030”.

Dla partii chcących za trzy lata powalczyć o władzę w roli innej niż koalicyjna przystawka krótkoterminową strategią mogłoby być punktowanie ekipy Tuska za odchodzenie od tych postulatów zawartych w „Polsce 2030”, które uznają za słuszne. Z tej perspektywy łatwo np. wątpić w integrację przestrzenną między Lublinem a Rzeszowem w sytuacji, kiedy brak dziś między nimi innego niż pociągi osobowe bezpośredniego połączenia kolejowego. Można też się zastanawiać, czy inwestycje w edukację faktycznie są dla rządu priorytetem, skoro w tym samym czasie niedofinansowane samorządy mają zamiar zamknąć kilkaset placówek w całej Polsce. Przyjmując taką strategię, łatwo jednak wpaść w pułapkę intelektualnej niesamodzielnosci, jak swego czasu SLD. Rozliczał on PO za nierealizowanie wyborczych obietnic, wśród których było... wprowadzenie podatku liniowego, któremu Sojusz był przeciwny.

Alternatywą na dłuższą metę jest zatem – niezależnie od bieżących stanowisk politycznych czy kolejnych programów wyborczych – przygotowanie kompleksowej wizji bardziej egalitarnego społeczeństwa i ekologicznej gospodarki. Platforma Obywatelska nie ma już problemów z promowaniem w rządowym dokumencie ograniczania wjazdu samochodów do centrów miast czy wspierania imigracji, co oznacza, że zarysowanie alternatywnej wizji rozwoju kraju staje się kluczowe dla utrzymania podmiotowej pozycji na scenie politycznej. Trudno konsekwentnie wprowadzać w przestrzeń publiczną nowe problemy



Bartłomiej Kozek – Ruch Palikota stoi przed wyzwaniem. To przygotowanie kompleksowej wizji bardziej egalitarnego społeczeństwa i ekologicznej gospodarki niż ta, która znalazła się w dokumencie programowym PO

i pomysły na ich rozwiązanie, jeśli za istotne wydarzenia uznaje się jedynie „wypadki” ekipy rządzącej.

„Polska 2030”, niezależnie od tego, czy i w jaki sposób rząd będzie ją realizował, dla wszystkich środowisk i partii opozycyjnych będzie twardym orzechem do zgryzienia. Zieloni i środowiska ekologiczne będą musiały udowodnić, że ich sprzeciw wobec energetyki jądrowej czy wydobycia gazu łupkowego ma uzasadnienie (np. ekonomiczne), skoro rząd PO bez problemu dostrzega potencjał zielonej gospodarki i rozwoju rozproszonego sektora energetycznego obok inwestowania w technologie czystego węgla czy budowę reaktorów atomowych.

Ruch Palikota zmuszony będzie doprecyzować swoje postulaty społeczno-ekonomiczne, skoro w jego dokumentach programowych znaleźć można takie zbieżne z pomysłami ekipy Boniego kwiatki, jak jednolita stawka podatku VAT. Być może inspiracje brazylijskim modelem rozwojowym, prezentowane wkrótce po wejściu do Sejmu przez ekipę Palikota, doczekają się doprecyzowania i dostosowania do środkowoeuropejskich realiów.

SLD będzie musiał zdecydować, czy intelektualnie bliżej mu do wzorującego się na tradycjach zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji bez naleciałości „trzeciej drogi” wrocławskiego Ośrodka Myśli Społecznej im. Lassalle’a Michała Syski, czy może do twórczonego właśnie Centrum Daszyńskiego, w którym istotną rolę odgrywa Jan Hartman – obrońca prywatnych funduszy emerytalnych, oburzony na Oburzonych i na idee bezpłatnych studiów wyższych.

Platformę Obywatelską stać na wizjonera Michała Boniego. Na jakiego wizjonera bądź wizjonerkę stać dziś opozycję?

# Centrum Profilaktyki Żydostwa



TOMASZ PIĄTEK  
Autor felietonu  
jest pisarzem

Papuga Zebek, wdrapując się w górę po prętach swojej klatki, w końcu dotarła do jej szczytu i zwiśla w dół jak nietoperz. I tak już wiś od pewnego czasu. Zaczęłam się zastanawiać, o co chodzi. Może papuzia skłonność do papugowania rozszerzyła się u Zebka, przeszła od czysto papuziego papugowania werbalnego do papugowania cielesnego i teraz Zebek całym ciałem papuguje nietoperza? Tylko gdzie i kiedy on widział nietoperza? U mnie w domu nie ma żadnych nietoperzy, o ile wiem. A może następnym etapem po nietoperzu będzie kameleon i Zebek zacznie zmieniać barwę upierzenia, żeby upodobnić się do otoczenia? Może stanie się papugą lustrzaną?

Tak sobie dumiałem nad Zebkiem, kiedy on nagle otworzył dziób i powiedział: „Dzieci popierają coś, czego nie rozumieją, a ich odpowiedzi to efekt psychologicznego nasycenia informacyjnego. Palikot pokazał, że socjotechniką, nagłaśnianiem sprawy można kształtować wybory ludzi”. I wszystko stało się jasne. Nie nietoperza papuguje Zebek, ale Mariusza Jędrzejkę. Tylko gdzie i kiedy on widział Mariusza Jędrzejkę? U mnie w domu nie ma i nie było Jędrzejki. Nie wpuściłbym go.

Mariusz Jędrzejko jest szefem Mazowieckiego Centrum Profilaktyki Uzależnień. Przyznam się, że nie lubię być obiektem profilaktyki. Żydzi w III Rzeszy też byli takim obiektem. Uzależnienie, czyli nieodporność na środki zmieniające nastrój zgodnie z powszechnie przyjętą definicją Morse’a i Flavina, jest chorobą silnie uwarunkowaną genetycznie. We wszystkich narodach, środowiskach i warstwach społecznych jest zawsze tyle samo ludzi uzależnionych: 10 proc. – niezależnie od rodzaju wychowania i wpływów środowiskowych. Uzależnieni po prostu rodzą się uzależnieni, nieodporni na narkotyki, włącznie z alkoholem. Ze względu na swoją odmienność cierpią fantastycznie, znoszą głody i tak zwane zespoły abstynencyjne, są wykorzystywani przez dilerów, szantażowani, bici i aresztowani przez policję, wsadzani do więzień, w końcu umierają. Ktoś, kto się zajmuje profilaktyką uzależnień, chce, żeby uzależnień nie było. Ponieważ uzależnienie rodzi się razem z uzależnionym, profilaktyka uzależnień wymaga eliminacji uzależnionych, ostatecznego rozwiązania typu Holocaust. Zabicia wszystkich uzależnionych, żeby nie rodzili się następni uzależnieni.

Ja wiem, że wielu Polakom to by się spodobało: już widzę ten szczery uśmiech na myśl o obozach koncentracyjnych i komorach gazowych dla narkomanów. Ale ostrożnie, szanowni państwo! Uzależnienie jest perfidną chorobą genetyczną. Nie przenosi się w sposób prosty. To nie jest tak, że jak tatuś uzależniony, to synek też. Czasem jest tak, że dziadek lub pradziadek uzależniony, a potem dopiero wnuczek i prawnuczek. Albo wujek i siostrzeniec. Profesor Vetulani tłumaczył mi, że to tak zwane allele przewrotnie się kombinują na różne sposoby w różnych pokoleniach i odgałęzieniach rodziny, czasem się skombinują tak, a czasem

siak, a jak siak, to przerażane i mamy uzależnionego. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Żeby wyeliminować te allele i żeby nam się na przyszłość nie kombinowały, musielibyśmy zlikwidować nie tylko uzależnionych, ale także ich rodziny, co daje nam pół Polski. Chociaż może państwa ta wizja też nie przeraża. Pod warunkiem że nie macie w rodzinie żadnego alkoholika ani narkomana.

Mariusz Jędrzejko, profilaktyk narkomanstwa i innego żydostwa, biega po Polsce, głosząc nową, niesamowitą tezę. Otóż ostatnio wśród młodych Polaków wzrosło bardzo spożycie marihuany. I nic dziwnego: Tusk zamknął przecież sklepy z dopalaczami. Jędrzejko ma jednak inną wizję (wizję Ptaka Grzmota, jak mawiał pewien mój znajomy). Zdaniem Jędrzejki winę za wzrost spożycia marihuany ponosi Palikot, ponieważ domaga się jej depenalizacji. Proszę dobrze zrozumieć to myślenie (aczkolwiek nazywanie tego myśleniem to gruba przesada, a i zrozumieć się tego nie da): samo mówienie o tym, że można byłoby nie karać ludzi za posiadanie małych ilości marihuany, stanowi promocję tej używki i powoduje gwałtowny wzrost jej spożycia. Ponieważ promocja narkomanii jest w Polsce zakazana, Jędrzejko wymyślił prawne perpetuum mobile, uczynił przepis o karaniu (za posiadanie nawet niewielkich ilości narkotyku) przepisem nieusuwalnym. Odtąd każde napomknięcie o tym, że można byłoby ten przepis zmienić, grozi więzieniem. Jeszcze dotąd chyba żaden Kodeks karny nie miał tak obwarowanego artykułu.

Zebku, czemu naśladujesz Jędrzejkę? – pytałem papugę. – Czy uważasz go za perfekcyjnego geniusza zła? To raczej perfekcyjny debil zła, powiedzmy antygeniusz. Co na jego temat chcesz mi zasugerować, wisząc tak do góry nogami? W odpowiedzi Zebek zaczął się masturbować dziobem, a potem powiedział: „Odgłos pośmiertny”. ●





→ syntezatora, uznanego przez pismo „PC World” za jeden z najważniejszych wynalazków w historii hardware’u. – SID wyprzedził epokę, może i niejedną. Ze swym charakterystycznym brzmieniem ma dość statusu równywalny z kultowym syntezatorem Roland TB-303 – mówi Dramczyk.

SID jest monofoniczny i może produkować trzy równoległe głosy, z których każdy występuje w czterech wariantach fali dźwiękowej. Niezbyt to imponujące jak na dzisiejsze standardy, jednak twórcom chiptune – muzyki z ośmiobitowców, zupełnie wystarczy. Im nie o nowość chodzi. – Celem większości nowych urządzeń jest osiągnięcie maksymalnie czystego dźwięku. Do pewnego stopnia ma to sens, ale też wszystko, co zbyt czyste i kliniczne, staje się bezduszne, a nie tego oczekujesz od muzyki – opowiada „Przekroju” Jan „Disrupt” Gleichmar, założyciel niemieckiej wytwórni Jahtari, łączącej nurty reggae i dub z estetyką ośmiu bitów. – Chcesz, by muzyka żyła, chcesz drobnych niedoskonałości i nieprzewidywalności. To bardzo ludzkie. I to umożliwia C64. Nowe komputery i oprogramowanie, choć zaawansowane technologicznie, nie dają tyle radości z tworzenia, co stare maszyny. Nie trzeba martwić się o sterowniki karty dźwiękowej czy o ustawienia Windowsa. Po prostu robisz muzykę.

Nieprzemijająca atrakcyjność C64 jako syntezatora dźwięków to zasługa Roberta „Boba” Yannesa, inżyniera, ale i zawodowego muzyka. „Uznałem, że wszystkie chipy na rynku, włączając te w Atari, były prymitywne i niewyraźniej projektowane przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o muzyce”, mówił Yannes w książce Briana Bagnalla „Na krawędzi: Powstanie i upadek Commodore”.

Książce, która może wydawać się lekturą dla nudziarzy, ale w rzeczywistości jest fascynującą opowieścią o amerykańskim śnie.

### Zabójca Apple

„Biznes to wojna”. Ten slogan w latach 80. stał się niezwykle popularny w USA. Jego autor, znany biznesmen Jack Tramiel, o wojnie wiedział bardzo dużo. Nie tylko z filmu „Patton”, który uwielbiał. Tramiel urodził się w 1928 r. w rodzinie łódzkiej Żydów jako Idek Tramielski. Kiedy miał dziesięć lat, trafił wraz z rodziną do łódzkiego getta, a po jego likwidacji – do Auschwitz. Po badaniu przeprowadzonym przez doktora Josefa Mengele, z orzeczeniem o zdolności do pracy wyładował w niemieckim obozie w Hannover-Ahlem, skąd wyzwoliła go amerykańska armia. Tramielski, już jako imigrant Jack Tramiel, zaciągnął się zresztą



Twórca Commodore’a Jack Tramiel, czyli Idek Tramielski z Łodzi, z synami

do niej wkrótce po wojnie, choć trudno powiedzieć, czy był dobrym żołnierzem: w końcu najpierw służył jako kucharz, a później zajmował się naprawą sprzętu biurowego. WojSKU Tramiel zawdzięcza jeszcze dwie rzeczy: pożyczkę na rozkręcenie pierwszego biznesu (produkcja maszyn do pisania) i nazwę dla swojej firmy. Konieczność miała być związana ze stopniem wojskowym. Co prawda „Generała” i „Admirała” już ktoś zarezerwował, ale do wzięcia był stopień oznaczający funkcję niższej kapitań marynarki, a wyżej kontradmirała: „Komodor”. Tak, taka nazwa brzmi pięknie: „Commodore International”.

Tramiel czuł, że swoją wojnę („Biznes to wojna”) na rynku maszyn do pisania przegrywa z Japończykami, przeczucił się więc na kalkulatory, ale i tam dopadła go konkurencja. W końcu wizjonersko zainwestował w konsolę do gier. Fakt, pierwsze dziecko Commodore, MAX Machine, sukcesem nie było, ale stworzony z myślą o biurach, przypominający dzisiejsze kasy fiskalne Commodore PET, stał się w USA i Kanadzie bestsellerem. Podobnie jak VIC-20, pierwszy osobisty komputer sprzedany w milionie egzemplarzy.

W 1981 r. Commodore ostrzył już sobie zęby na rynek gier, a Tramiel postanowił wziąć przeciwników z zaskoczenia. Jego nowy produkt miał być „Zabójcą Apple i IBM”. Firma Steve’a Jobsa właśnie wypuściła na rynek Apple II, a IBM – PC5150. Jako że oba modele były piekielnie drogie (2,5–2,8 tys. dol.), Tramiel zażądał od swoich pracowników „komputera

dla mas, nie dla klas”. „Próbowałem zaprojektować rzecz tak tania, jak to tylko możliwe”, wspominał Chuck Peddle, inżynier pracujący nad C64, w „Na krawędzi...”. „Nie lubiłem drożyzny, w końcu sam nie miałem zbyt wiele pieniędzy i nie widziałem powodu, dla którego nasze urządzenie miało być kosztowne”.

Najbardziej ryzykowną decyzją było wstawienie do „Komodorka” 64 kilobajtów pamięci operacyjnej, która kosztowała wówczas horrendalne 100 dol., ale w końcu w styczniu 1982 r. na targach CES w Las Vegas Commodore pokazał światu komputer wart prawie pięć razy mniej niż sprzęt IBM i Apple, za to dużo od nich lepszy.

Jak mówi Peddle: „Pamiętam tylko, że w naszym pawilonie stali z otwartymi ustami ludzie z Atari, pytając: „Jak oni mogli zrobić coś takiego za 595 dolarów?!”.

### Terabajt nostalgii

Po szalonej prosperity w latach 80., kiedy było, że – jak wspomina Tramiel – miesięcznie sprzedawano niemal 300 tys. egzemplarzy C64, przyszyły chude lata 90. – Commodore 64 się starzał, na horyzoncie pokazywały się zupełnie inne rozwiązania – opowiada Bartek „Voyager” Dramczyk. – Co prawda powstał prototyp następcy C64, znacznie silniejszy C65, ale na rynku się nie pojawił.

Produkcji C64 zaprzestano w marcu 1994. W kwietniu Commodore ogłosił bankructwo. Najpopularniejszy komputer świata (wedle Księgi rekordów Guinnessa) przeszedł do historii popkultury.

Nie ma się co oszukiwać. Za ożywieniem demosceny, muzyką chiptune, popularnością emulatorów i dziwnymi przeróbkami „Komodorka” stoi głównie sentyment. I należało się spodziewać, że wcześniej czy później ktoś zechce na nim zarobić. Założona w 2010 r. firma Commodore USA nawet nie ukrywa, że powstała w tym celu. Dzięki wykupionej licencji w zeszłym roku rozpoczęła sprzedaż produktu o nazwie Commodore 64. Tylko pozornie to nowa wersja uwielbianego komputera. Pod klasyczną kremową obudowę z logo firmy umieszczonym na tęczyowym pasku kryje się nowoczesny 64-bitowy procesor z terabajtowym dyskiem twardym, dwoma gigabajtami pamięci operacyjnej, mocnym procesorem i nagrywarką DVD.

Ortodoksi są sceptyczni: kręcą nosem, że to tania sztuczka i że sprzedaż będzie niska. Nawet jeśli Commodore USA zadbało o każdy szczegół, który gra na naszej nostalgii. Cena C64x w wersji podstawowej jest taka sama jak w roku 1982: 595 dol.

## TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

KAROLINA SAWICKA

### 1. Dlaczego miętowa guma czy cukierki wywołują w ustach wrażenie zimna?

Trudno ocenić, ile kampanii reklamowych gum do żucia i cukierków oparto na prostym skojarzeniu miętowego smaku z chłodem. To faktycznie wyjątkowo oczywiste – ilekroć mamy w ustach coś mocno miętowego, każdy oddech sprawia, że czujemy na języku, policzkach i podniebieniu wyraźny chłód. Wyjaśnienia tego zjawiska szukano długo. Przez wiele lat próbowano tłumaczyć je parowaniem olejków eterycznych, które są składnikami mięt. Bo parowanie, jak wiadomo, jest procesem pobierającym

z otoczenia bardzo dużo ciepła. Rzecz jest jednak bardziej skomplikowana. Po pierwsze, w cukierkach miętowych owych olejków eterycznych wiele nie zostaje – są głównie mentol, alkohol z grupy terpenów, ale jego ilość jest za mała, by samo parowanie zdołało wychłodzić nam tak usta. Co więcej, mentol po zmieszaniu ze śliną zupełnie traci „chęć” do parowania. Wyjaśnienie przyszło dopiero kilka lat temu, gdy udało się stwierdzić, jak mentol działa na komórki nerwowe. Okazało się, że wpływa on



na kanał jonowy, który aktywuje włókna nerwowe odpowiadające za przewodzenie impulsów od receptorów zimna. Substancja sprawia, że nerwy „włączają się” przy znacznie wyższych temperaturach niż normalnie. Dlatego gdy ssimy miętówkę, mając zamknięte usta,

chłodu nie czuć. Przy wzięciu oddechu dostarczamy jednak porcję chłodniejszego powietrza i nasze nadaktywne nerwy zaczynają pompuć do mózgu sygnały o mrozie. Zła wiadomość dla twórców reklam – mentol, owszem, chłodzi, ale głównie nasz mózg.

### 2. Czy tańsze baterie są gorsze od tych markowych?

Są dwa rodzaje baterii, alkaliczne i cynkowo-węglowe. W każdej baterii chodzi o to samo – reakcja chemiczna „przepycha” elektrody z jednej elektrody do drugiej, tak by po połączeniu ich obwodem elektrycznym przepływał prąd. Opracowano zaledwie kilka takich reakcji, które nadają się do zastosowania w małych bateriach. Najstarsza i najmniej efektywna z nich to reakcja cynkowo-węglowa stosowana w najtańszych bateriach. Od dawna popularne są też ogniwka alkaliczne, a w ciągu ostatnich kilkunastu lat pojawiły się dwa nowe ich rodzaje – typu Oxiride oraz litowe. Najtańsze, cynkowo-węglowe, mogą dać z siebie 2 do 5 razy

więcej prądu niż alkaliczne. Z kolei najdroższe, litowe, są tylko ok. 1,5 raza pojemniejsze od alkalicznych, ale dają wyższe napięcie, można je dłużej przechowywać i są odporne na zmiany temperatury. Tak więc jedna kwestia to typ reakcji, jaka zachodzi w ogniwie – im efektywniejsza, tym bateria droższa. Jeśli jednak porównamy czas działania tańszych i droższych baterii alkalicznych, też dostrzeżemy różnice. To z kolei efekt zastosowanych substancji chemicznych. W droższych bateriach są one wyższej czystości, a elektrody wykonane są z lepszego materiału. W tym wypadku droższe jest zwykle lepsze.

### 3. Dlaczego jedne chmury są szare, inne czarne, a jeszcze inne zupełnie białe?

Nie bez znaczenia jest oświetlenie chmur przez słońce, ale tu niewiele trzeba wyjaśnić. Drugi czynnik to wielkość kropli tworzących chmurę. W chmurach deszczowych są one większe, w beztroskich obłoczkach – znacznie mniejsze. Im kropla większa, tym więcej razy odbija się i załamuje w niej promień światła, tym bardziej też jest on wygaszany. Dlatego ciężkie chmury deszczowe są ciemniejsze – światło, które do nich wpada, zostaje w dużej części pochłonięte.



### Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka o tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

### MAREK RACZKOWSKI



# Jak wymyślić heterotopię. Gra towarzyska

Czy możliwy jest świat, w którym nie ma mowy o zabijaniu i zjadaniu? W którym ludzie nie traktują innych istot jako użytecznych przedmiotów? Nie ma niewolniczego przywiązania do pracy, rywalizacji i agresji? To Heterotopia, kraina wymyślona przez **OLGĘ TOKARCZUK** na potrzeby jej nowej książki. Oto fragment „Momentu niedźwiedzia”, który ukaże się w marcu nakładem Krytyki Politycznej

**O**d kilku lat nęci mnie idea napisania powieści, w której świat funkcjonowałby inaczej. Nie działałyby w nim pewne oczywiste założenia. Wierzę, że uznawanie czegoś za oczywiste wcale nie wiąże się z kwestią faktów, lecz raczej umowy społecznej i przyzwyczajeni naszego umysłu, tym samym należy bardziej do dziedziny psychologii niż fizyki.

Fascynuje mnie przyglądanie się chwilom historii, które zmieniły myślenie ludzi, i zmianom w rzeczywistości, które po nich następowały. Kiedy wierzono, że świat jest płaski, był on płaski: nie podróżowało się za morza, nie wykraczało poza krańce. Dla geocentrycznego Układu Słonecznego zrobiono całkiem przekonujące rachunki matematyczne, które miały pragmatyczne zastosowanie – można było przewidywać zaćmienia i sprawnie konstruować kalendarze. Nasz umysł za wszelką cenę wspiera to, w co wierzymy. Właśnie dlatego tak trudno jest zmienić świat.

U podstaw każdej utopii leży niezadowolone. Skoro jednak w ogóle powstaje myśl, że może być lepiej, to znaczy, że już jest lepiej. Gdybyśmy tylko byli otwarci na zmiany i nie tkwili sztywno

przy tych wszystkich bezwładnych przyzwyczajeniach. Gdybyśmy spokojnie, pokojowo umieli zmieniać paradygmaty i nie zajmowałoby nam to więcej czasu niż życie jednego, najwyższej dwóch pokoleń – nie byłoby nam potrzebne żadne krwawe katastrofy.

Nie mam wątpliwości, że każda wizja lepszego świata rodzi się w wyobraźni. Właściwie wszystko rodzi się w wyobraźni i aż dziw bierze, że szkoły nie prowadzą specjalnych kursów kształcących tę umiejętność, a na uniwersytetach nie ma poświęconych jej fakultetów.

Heterotopia to po prostu miejsce inne niż świat, który znamy. Coś w rodzaju rzeczywistości alternatywnej, która mogła mieć wspólne źródło z tą naszą gdzieś głęboko w przeszłości, ale potem radykalnie się oddzieliła. Albo atopia. Atopos znaczy „inny”, „odbiegający od reszty”, „niezwykły” – tym właśnie słowem w „Uczcie Platona” Alcybiades charakteryzuje Sokratesa. Nietypowy świat, co bynajmniej nie znaczy gorszy. To raczej to, co typowe, które zawsze jest oczywiste, wcale nie musi być dobre.

Nasz świat powstaje z inercji myślenia. Można założyć, że ist-

nieje wiele sposobów rozumienia rzeczywistości, a może jest ich nawet nieskończona liczba. Jednak tylko niektóre stają się dominujące, uparcie wbijane są nam do głów albo trwają dzięki sile bezwładności.

Gra polega na wybraniu paru stwierdzeń na temat świata, które wydają się oczywiste i nieredukowalne. Następnie należy poddać je podejrziwym oględzinom, szukając dziur i pęknięć. Trzeba starać się być nieufnym i jednocześnie pozwolić pracować wyobraźni. I pamiętać, co powiedział Blake: wszystko, co jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jest jakimś rodzajem prawdy.

Oto kilka oczywistych tez inercyjnych i przeciwstawionych im antytez heterotopijnych.

**1 Człowiek należy do pewnych wspólnot i struktur, których zadaniem jest go wspierać i chronić, ale dla których musi zrezygnować z części swojej wolności: na przykład z wolności przemieszczania się.** Pierwszy artykuł Konstytucji Heterotopii powiada jasno, że podstawowym prawem człowieka jest prawo do swobodnego przemieszczania się. Nie ma granic, paszportów ani płotów. Idea wiz-

wprawiłaby Heterotopian w taki rozbawienie, że na samo słowo „wiza” wybuchaliby śmiechem.

**2 Istnieje postęp w wiedzy – dziś wiemy więcej niż kiedyś. Rozwój nauki jest nieprzerwany i rok po roku znikają coraz większe obszary nieznanego.** Powszechne na przykład jest przekonanie, że za rok zbadamy cały genom, że będziemy wiedzieli, jak leczyć niektóre choroby, że poznamy przeszłość wszechświata i sposób rozchodzenia się jakichś tam fal. Opisując mierny stan wiedzy, mówimy, że coś jest „dziewiętnastowieczne”.

W Heterotopii ludzie wprawdzie nie upierają się, że jest zupełnie odwrotnie, że postęp nie ma, a złoty wiek zamienił się w żelazny. Uważają natomiast, że postęp wiedzy dokonuje się szczególnie wyraźnie w jednych dziedzinach, a w innych nie. Przede wszystkim jednak podkreślają, że wraz z wiedzą wzrasta nieustannie obszar niewiedzy. Więcej wiedzy bynajmniej nie oznacza, że wiemy więcej, co jest zarówno paradoksalne, jak i logiczne.

Mieszkańcy Heterotopii uważają na przykład, że odkrycie nieświadomości było jednym z naj-



bardziej doniosłych w historii i zaczęto jej nowy etap. Człowiek i cały świat są tajemnicą. Heterotopianie przyjęli więc coś w rodzaju strategii świadomej niewiedzy. Zakładają, że istnieją rzeczy, których nigdy nie będziemy wiedzieć, które nam tylko zamigocą i pozostaną nierozpoznawalne. Dlatego nie używają wiedzy i nauki do formułowania jednostronnych tez mających odpowiedzieć, jak jest i co to znaczy. Wydaje się, że to niewiele znacząca zmiana, ale Heterotopianie, uzgadniając między sobą ważne kwestie, stawiają sprawę tak: „Nie wiemy, jak jest, ale spróbujmy przez jakiś czas zachowywać się, jakby było tak i tak; zobaczymy, co z tego wyniknie. Potem

możemy zacząć myśleć inaczej”. Wszelkie redukcjonistyczne teorie tracą w ten sposób rację bytu, niewytłumaczalność budzi szacunek. Stymuluje to do stawiania pytań, fantazjowania, przyjmowania nieoczekiwanych perspektyw.

W naszej Heterotopii wszystkiego uczy się jako hipotez. Nieustannie ćwiczy się różne punkty widzenia na to samo, trenuje się zmienianie poglądu, broni się przeciwstawnych sądów. Skoro poznanie zmysłowe i intelektualne okazuje się tak niepewne, rośnie znaczenie innych jego rodzajów – wyobraźni i empatii. Osoby, które wychodzą z takich szkół, widzą raczej procesy, nie stany. Nie istnieje nic takie-

go jak stała i monolityczna osobowość. Ludzie zmieniają imiona w ciągu swojego życia i wciąż inaczej interpretują własną biografie. W sensie metafizycznym panuje tutaj zupełnie nowy rodzaj holistycznej, panteistycznej duchowości, przy czym duchowość rozumiana jest jako nieustanne i faktyczne (nie zaś rytualne) konfrontowanie się z niepoznawalnym.

**3 Motorem ewolucji jest mechanizm doboru naturalnego. Polega on na współzawodniczeniu żywych stworzeń w określonych warunkach nieożywionego środowiska.** W Heterotopii uważa się raczej, że teza ta, pomimo pozorów roz-

sądku, jest irracjonalna i często przeczy naszemu doświadczeniu. Równie dobrze można by przyjąć inne systemowe wyjaśnienia procesu ewolucyjnego.

Heterotopianie opowiadają na przykład taką, znaną także w naszym świecie, historię: w czasach Darwina żyła pewna uczona, która przygotowała odmienną i bardzo ciekawą interpretację danych przywiezionych z podróży tego przyrodnika. Niestety, jak to często bywa z uczonymi kobietami, jej imię nie dotrwało do naszych czasów, a poza tym jej praca była tak ekscentryczna, że zupełnie ją zignorowano. Upierała się, że logika ewolucji działałaby równie dobrze, gdyby w miejsce nieustan-

→ nego współzawodnictwa podstawić inne czynniki, takie jak na przykład wspieranie się i altruizm, niejako wmontowane w mechanizmy przyrody. Z tego powodu Heterotopianie wolą przyrzeć się przyrodzie raz jeszcze i dostrzec, jak wszelkie życie wspiera się na sobie, jak poszczególne gatunki dzielą się habitatami, wodopojem, jak stosują międzygatunkowe rytuały pojednawcze – wiele przykładów tego typu zachowań znajdziemy w literaturze. Także poświęcania się dla siebie istot żywych.

Inną wariacją tego samego tematu jest teza postawiona przez Elaine Morgan. Tutaj mechanizmem alternatywnym wobec współzawodnictwa jest thymos, potrzeba popisania się, błyszczczenia, imponowania. To ona prowadzi do nietypowych, ekscentrycznych i zarazem twórczych zachowań, wynajdywanych, żeby zwrócić na siebie uwagę samca czy samicy albo zyskać prestiż w grupie. Wiele przykładów takich zachowań opisano wśród małp.

Istnieje także teoria Lynn Margulis, znanej amerykańskiej biologiki, która mówi, że źródłem ewolucyjnych innowacji są nie tylko przypadkowe mutacje, lecz również symbiogeneza, czyli symbiotyczne scalanie się łańcuchów komórek bakteryjnych. Margulis twierdzi, że do powstania nowych gatunków doprowadziły endosymbioza szeregowa oraz połączone przetrwanie – przykładem są mitochondria, które kiedyś funkcjonowały jako osobne organizmy i które zostały wcielone do komórek lub połączyły się z nimi, odtąd pracując na ich rzecz. Margulis pokazuje, że organizmy żywe nie tylko walczą i współzawodniczą, ale także oddziałują na siebie i łącząc się, wspierają wzajemnie. Oto alternatywna wizja łagodniejszej formy ewolucji, w której współpraca i pomoc stają się równie istotnymi mechanizmami zmian.

bardzo podoba Heterotopianom. Odbiera oręż wszelkim darwinistom i neodarwinistom, którzy swoje jedynie słuszne prawa biologii tak chętnie przenoszą do innych dyscyplin wiedzy – ekonomii czy socjologii.

Nie słyszałam, żeby Heterotopianie bronili szczególnie kreacjonistów, ale dla uczciwości intelektualnej należy pamiętać, że teoria doboru naturalnego jest tylko jedną z wielu interpretacji faktów, nie zaś jedyną. Tymczasem, mówią Heterotopianie, stała się ona fundamentem wielu innych teorii, ekonomicznych czy politycznych, lub zwyczajnie służy tchórzliwej legitymizacji przemocy. Jeżeli tylko poddamy tę teorię szlachetnemu wątpliwności, ujrzymy świat w innym świetle. Nagle mechanizmy altruistyczne, wspierające, przestaną być dziwactwem organizmów nieprzystosowanych i skazanych na wymarcie, ale staną się równie „naturalne”.

Heterotopianie tak właśnie widzą przyrodę. Dzięki temu nie traktują innych istot jako użytecznych przedmiotów i nigdy nie wykorzystują ich dla własnych korzyści. Nie ma mowy o zabijaniu i zjadaniu. To są partnerzy, bliscy. Inni i czasem kłopotliwi, ale jednak bliscy. Heterotopianie zakładają raczej wzajemny szacunek i koegzystencję niż współzawodnictwo i naturalną sprzeczność interesów (przypomina to stosunek do świata przyrody dawnych kultur paleolitycznych). To oczywiście powoduje, że od najwcześniejszych lat dzieci uczą się języków innych gatunków, a na uniwersytetach istnieją katedry psychologii międzygatunkowej.

**4 Ropa naftowa oraz inne surowce kopalne są podstawowym, w zasadzie jedynym źródłem energii i podlegają obrotowi handlowemu. Alternatywne źródła są zbyt drogie, niewydajne i podejrzane.** Nawet jeżeli pojawiają się coraz

nowsze, ciekawe pomysły na alternatywne pozyskiwanie energii, to towarzyszy temu zadziwiający opór przed wprowadzeniem ich do powszechnego użytku. Opinia publiczna zaraz słyszy, że są one na dłuższą metę nieopłacalne, zbyt trudne do wdrożenia albo zbyt skomplikowane w eksploatacji. Wielu specjalistów utrzymuje, że jesteśmy już technologicznie gotowi na wykorzystanie zupełnie nowych źródeł energii (albo stosowanie wielu) i że to nie technologia, lecz raczej polityka kurczowo trzyma nas w anachronicznym świecie ropy, węgla i gazu, które na dodatek – traktując jako dobra prywatne – można sprzedawać. Na tym polega cała siła naszego systemu. Kiedyś uznaliśmy, iż takie podstawowe dobra jak paliwa kopalne można mieć na własność, a potem za pieniądze odstępować je innym. Ten absurdalny układ zapewnia ogromną władzę niewielkiej liczbie ludzi, którzy dyktują swoje warunki. Opór, z jakim spotyka się idea korzystania z innych źródeł energii, każe podejrzewać, że stary system, choć rażąco niesprawiedliwy, jest częścią jakiegoś szerszego porządku społecznego.

Heterotopianom wydaje się absolutnie logiczne, że skoro woda i powietrze niejako w oczywisty sposób są wspólne, skoro Himalaje należą do ludzkości i nie można sprzedawać rzek, to podobnie ogólnie dostępne powinny być inne „dary ziemi”. Mieszkańcy Heterotopii uważają za szaleństwo, że daliśmy sobie wzmówić, iż ludzie mogą zakupić na własność kawałek ziemi i w ten sposób stać się posiadaczami tego, co głęboko pod ziemią. To tak, jakby ktoś ogłosił, że jest właścicielem promieni słonecznych.

Oni sami już dawno postawili na naukę i dla funkcjonowania różnych przestrzeni wspólnych stosują energię wiatru, pompy termiczne, energię wodną i słoneczną. Jednocześnie, dzięki wielkiemu odkryciu „zimnej re-

akcji jądrowej”, każdy ma dostęp do własnego źródła energii. Bez dźwo długo nad tym pracowano i w końcu się udało, choć idea wydawała się szalona (tak samo jak trzysta lat temu idea aeroplanu). Zimna reakcja jądrowa odbywa się w niewielkim przenośnym urządzeniu, dostępnym dla każdego i będącym indywidualną własnością. Dostaje się takie coś przy urodzeniu, tak jak PESEL. Ludzie nazywają to „początkami”, i kiedy chcą złączyć coś razem, mogą łączyć swoje „ogniska”.

Dostępność taniej energii powoduje, że Heterotopia funkcjonuje zupełnie inaczej niż świat, który znamy. Mając swoje źródło energii, człowiek jest autonomicznie uwolniony od wielu ekonomicznych przymusów. Źródła energii można mieć na własność, a potem za pieniądze odstępować je innym. Ten absurdalny układ zapewnia ogromną władzę niewielkiej liczbie ludzi, którzy dyktują swoje warunki. Opór, z jakim spotyka się idea korzystania z innych źródeł energii, każe podejrzewać, że stary system, choć rażąco niesprawiedliwy, jest częścią jakiegoś szerszego porządku społecznego.

**5 Podstawową komórkę społeczną tworzą więzy krwi czyli rodzina. Szeroko pojmowane związki krwi tworzą naród.** Powszechnie uchodzi za oczywiste, że ludzie lepiej czują się w opartych na związkach krwi rodzinnych lub plemiennych układach niż w innych wspólnotach. Jednocześnie owe więzy krwi

(współcześnie mówi się chętniej o genach) generują specyficzny rodzaj rodzinnej (plemiennej) lojalności. Stan taki uważany jest za naturalny, ponieważ dowartościowanie pewną pulę genów, która bierze udział w szeroko rozumianym współzawodnictwie, wynika z logiki koncepcji ewolucjonistycznych.

W Heterotopii, gdzie więzy tworzy się raczej z chęci i wyboru niż z konieczności, a kultura jest w dużej mierze zglobalizowana, wybiera się na „bliskich krewnych” ludzi podobnie myślących, mających podobne gusty i wyznających te same idee. Związki krwi uważa się za przypadkowe, niepewne i prymitywne. Dlatego Heterotopianie tworzą inne wspólnoty niż rodzina, plemię czy naród. Są to na przykład wspólnoty miejsc, przekonania, idei, pasji czy pracy. Znam miasto, gdzie zamieszkali ludzie, którzy mają świetny słuch muzyczny, i tamtejsze życie kręci się zwykle wokół muzyki. Heterotopianie zupełnie inaczej rozumieją też słowo „rodzina”. U nich rodzina może tworzyć na przykład jedna starsza kobieta i jej dwa-ćciotki i partner jednej z nich, bo wszyscy pasjonują się makrobiotyką. Albo dwie homoseksualne pary mieszkające w secesyjnej willi, o którą trzeba dbać. W tym ostatnim przypadku także willa jest członkiem rodziny. Tak rozumiane „rodziny” żyją w obrębie szerszych struktur, również opartych na wspólnych ideałach i podobnym myśleniu, zwanych społecznościami. Społeczności pielęgnują swoje wizje życia. Jedne na przykład realizują ideały chrześcijańskie, innym bliżej jest do komun anarchizmy. Jeszcze inne są wspólnotami, które postanowiły żyć na wzór średniowiecznych beginek. Mają już dwa miasta i kilka wsi nad jedną rzeką. Heterotopianie nie muszą więc zgadzać się na uśrednione, ciągle uzgadniane dobro, które dla wielu jest wątpliwe.

Społeczności te tworzą koordynującą je Unię, która, będąc systemem nadrzędnym, egzekwuje wspomnianą już podstawową konstytucyjną zasadę – wolności przemieszczania się ludzi i nieprzymuszania nikogo do pozostawania w takim układzie, który nie spełnia jego oczekiwań. Jak wiadomo, artykuł 1 unijnej konstytucji stanowi, że istota ludzka ma absolutne i niezbywalne prawo do przemieszczania się i wolnego wyboru miejsca osiedlenia, a także do życia zgodnie ze swoimi ideałami, o ile nie zagrażają one wolności drugiego człowieka.

**6 Populacja ludzka jest podzielona mniej więcej równo na dwie płcie.**

Pogląd ten uchodzi za naturalny i jest poparty wielką narracją mitologiczną; występuje powszechnie. Te dwie płcie mają się wzajemnie uzupełniać – jedna jest uległa, druga dominująca, jedna uczuciowa, druga intelektualna i tak dalej. Ogromną rolę odegrał tu stary mit o komplementarności płci. Ten dualistyczny podział rzutuje także na przypisywanie rodzaju rzeczom, zjawiskom czy słowom.

Większość współczesnych cywilizacji zbudowana jest na tym dualistycznym fundamencie. Podział na dwie płcie wydaje się głęboki i przenikający wszystko. Ta dychotomia to podstawowy język opisywania świata – kobieta i mężczyzna stają się ogniwem w niekończącym się łańcuchu innych dualizmów: dzień – noc, ogień – woda, tak – nie, góra – dół. Ta nieprawdopodobna idea ignoruje wszystko to, co pomiędzy biegunami. Jest ślepa na każde continuum.

Heterotopianie bardzo się dziwią takiemu podejściu do sprawy, bowiem sami postrzegają płć nie jako dualizm, lecz jako continuum; jest w nim miejsce dla wielu możliwych „nasąceń” tym, co męskie i żeńskie (przez czym „męskie” i „żeńskie” nie

ma specjalnego związku z kobietą i mężczyzną).

Ludzie są różni, a świat skomplikowany – brzmi artykuł 2 Konstytucji Heterotopian. Dlatego wystrzegają się mechanicznego łączenia cech biologicznych z psychologicznymi, określają to jako „biologizm” i traktują podobnie jak my seksizm.

**7 Kobieta bardziej należy do natury, a mężczyzna – do cywilizacji.**

Taki pogląd przewija się właściwie w każdej epoce, nabiera może tylko trochę innego zabarwienia. Uzasadniany jest narzucającym się skojarzeniem cyklu miesięcznego z fazami Księżyca albo ciążą i porodem. Dziś przyjmując ten punkt widzenia, kładzie się nacisk na menopauzę i jej skutki, andropauzę zaś niemal zupełnie się ignoruje. Jeszcze dwieście pięćdziesiąt lat temu powszechnie uważano, że natura zaburzeń

psychicznych kobiet jest w swojej istocie cielesna i związana z chorobami macicy; męskie choroby psychiczne natomiast miały pochodzić raczej „z ducha”.


Jak rozumiałam, Heterotopianie nie mają w tej kwestii jednolitych poglądów i, z grubsza rzecz biorąc, balansują – jak to oni – między dwoma: czasem upierają się, że jeśli chodzi o przynależność do natury czy kultury, nie ma żadnej różnicy pomiędzy płciami. Cykle istnieją tak samo w życiu kobiety, jak i mężczyzny. Poród i ciąża tak samo należą do natury, jak ejakulacja.

Można też uznać, że plotkowanie, przypisywane kobietom i z taką pogardą traktowane przez mężczyzn, stanowi część ustalania więzi społecznych i przekazywania informacji. Werbalność kobiet spełniała i spełnia ogromną rolę kulturotwórczą i cywilizacyjną. To za nią kryją się zdolno-

REKLAMA

**Chore dzieci na Wschodzie są niewidoczne. Dostrzeż. Pomóż. Wylecz.**

Expatria za 1% podatku leczy najbiedniejsze, polskie dzieci z Kresów  
KRS: 0000166422



Pobierz PIT 2011 1procentdzieciom.

→ ści językowe, bez niej nie byłoby możliwe przekazywanie tradycji czy rozwój rzemiosła, to ona odgrywa dominującą rolę w edukacji dzieci.

Inni twierdzą, że to mężczyzna bardziej należy do natury, a kobieta do kultury i cywilizacji. Podbudowują swoją tezę, powołując się na słabiej kontrolowaną seksualność czy agresję u mężczyzny, mniejsze talenty językowe i ograniczoną zdolność do wymiany informacji oraz na inne badania dostarczane ostatnio przez naukę. Mężczyzna bliżej związany z naturą występuje też w mitach i ludowej kulturze Heterotopian – heros zawsze poddaje się emocjom, działa spontanicznie, nie planując, w większym stopniu powoduje nim potrzeba rywalizacji, jego zachowania są często instynktowne. Kobiecie zaś, jak już wspomniałam, tradycyjna mitologia przypisuje funkcję cywilizacyjną: komunikację, rzemiosło, kulturę życia codziennego, zachowanie ciągłości tradycji. Kiedy mówi się Heterotopianom, że są miejsca, gdzie ludzie uważają inaczej, bardzo ich to bawi.

Uwaga: podobno na północnej wyspie Heterotopii żyje społeczność, gdzie różnica seksualna jest ignorowana, niewidoczna i traktowana jako zupełnie nieoczywista.

### 8 Rozmnażanie się jest dobre i pożądane.

Mówią o tym nakazy wielu wielkich religii, zwłaszcza tych, które mają udział w rządzeniu światem i są patriarchalne, a więc, z grubsza rzecz biorąc, takie, które traktują istoty ludzkie instrumentalnie. (Oczywiście są także religie i nurty religijne, które nie podzielają tego przekonania, na przykład budyzm czy gnostycyzm). Narodziny są więc zawsze radosne, świętuje się je i celebruje. Posiadanie dzieci jest naturalne i dobre. Brak dzieci jest niedoskonałością, uszczerbkiem, patologią. Z oburzeniem patrzy

się dziś na Chiny i na regulację demograficzne ograniczające potomstwo do jednego dziecka. Oczywiście jest, że każdy może rozmnażać się do woli, nawet jeżeli nie ma możliwości godziwego wychowania swojego potomstwa. Każdy pomysł zapanowania nad tym żywiołem budzi wzbурzenie zarówno po prawej, jak i po lewej stronie. Zapewne chodzi także o to, że przyrost naturalny zapewnia funkcjonowanie obecnych systemów.

W Heterotopii uważa się, że dopóki nie zostaną rozwiązane podstawowe problemy świata – głód, brak wykształcenia, bieda, choroby, przeludnienie niektórych regionów, przemoc – narodziny powinny skłaniać raczej do smutnej refleksji niż radości. To raczej adopcja dzieci, które już są, ma być wspierana, cieszyć się estymą i powodować radość. Rodzice zaś, którzy decydują się na nią, winni być stawiani za wzór obywatela.

W Heterotopii nie tak łatwo się rozmnażać. Trzeba przekonać społeczność, w której się żyje, że jest się dostatecznie odpowiedzialnym, że ma się miejsce na dziecko i dochody, żeby je utrzymać. Rodzicielstwo jest przywilejem. Czeka się w kolejce na pozwolenie. Narodziny się kontroluje. W wychowaniu już narodzonych dzieci w dużym stopniu pomaga społeczność i Unia. Sam fakt, że ktoś spłodził i urodził dziecko, nie daje mu nad małym człowiekiem władzy. Dzieci nie są własnością rodziców, więc ich wychowanie jest w dużym stopniu poddane kontroli społecznej. Nikt tu nawet nie słyszał o przemocy wobec dzieci.

W Heterotopii nie widzi się związku między seksem a posiadaniem dzieci. Zapomniano o tym. Seks ma za zadanie sprawiać przyjemność i budować więzi.

Podobno na południowej wyspie Heterotopii istnieje społeczeństwo, w którym rozmnaża-

nie się zupełnie stabuizowano. Nie seks jest tabu, lecz właśnie rozmnażanie. Panuje tam etos samoograniczenia. Pięknie, godnie i po obywatelsku jest zrezygnować z posiadania dzieci, których poczęcie traktowane jest jak wpadka, nieumiejętność zapanowania nad swoimi instynktami, zachowanie aspołeczne i nieodpowiedzialne. Rodziny bezdzietne stawiane są za wzór. Tuż przed dojrzewaniem płciowym stosuje się powszechną czasową sterylizację, którą potem można zawiesić w szczególnych przypadkach, gdy ktoś się uprze i zda odpowiednie egzaminy.

### 9 Religia jest dobrem wspólnym, należy do działań zbiorowych i prawotwórczych.

Tak funkcjonowała religia w naszych dziejach – budowała społeczeństwa, a nawet państwa struktury, przyczyniała się do tworzenia tożsamości, łączyła i dzieliła.

W Heterotopii w całej historii dominowało inne spojrzenie na religię: była uwewnętrzniana i traktowana jako sfera prywatna. Inspiracją dla Heterotopian były demokracja ateńska i niektóre nurty oświeceniowe. Teraz jednak sprawy poszły o wiele dalej. Religijność jest czymś niezwykle intymnym – stosunek do niej przypomina nasz stosunek do seksu: ludzie mówią o tym, w co i jak wierzą, tylko najbliższym i tylko szepcem przy świecach. W sferze publicznej kwestie religijne okryte są dyskretnym milczeniem. Czasami ktoś się upije i wypła wszystko albo natrętny paparazzo sfotografuje celebrytę, jak ten przemyka do ukrytej w podejrzanym dzielnicy świątyni. Wszyscy wiedzą, że to się robi, ale jakoś nie wypada o tym mówić. A już na pewno nie o szczegółach.

### 10 Śmierć jest tym, co zupełnie wykracza poza żywą przestrzeń psychologiczną

i społeczną; nie wiadomo, co z nią zrobić. Śmierć jest najbardziej bezużytecznym zjawiskiem w naszym życiu.

Z chwilą śmierci Heterotopianin traci prawo własności do swojego życia. Staje się ono dobrem wspólnym – wszystkie dokumenty, zdjęcia, nagrania, zapiski i pozostawione przedmioty zostają zdigitalizowane i umieszczone w Internecie. Robi się tak już od pokoleń (przedtem rolę Internetu pełniły specjalne nekroteki), tak więc współczesny Heterotopianin ma dostęp do wszystkich, którzy żyli przed nim. To wielkie, ogromne i mądre źródło wiedzy o świecie – żywoty innych.

Podobnie rzecz ma się z ciałami zmarłych. Ulegają kremacji, a prochy dosypuje się do cementu nowo stawianych budowli, dróg i mostów. Jesteśmy tylko chwilą w niekończącym się pochodzie istot przez czas, zmarłych jest zawsze więcej niż żywych i są obecni we wszystkich dookoła. Dobrze jest mieć czasami świadomość, że w pięknym momencie, który spina brzozy rzeki albo w murach nowej szkoły znajduje się cząstka kogoś bliskiego. To sprawia, że Heterotopianie mają bardzo osobisty stosunek do swoich miast. I zupełnie nie boją się śmierci.

Niech tych dziesięć tez internetowych podanych tutaj w wikipliowości zostanie potraktowanych jako zaproszenie do gry. A ponieważ oczywiście świat każdego ranka, liczba tych rzeczy wydaje się ogromna. Od wielkich rzeczy do zupełnie małych. Skoro można pomyśleć, że może być lepiej, to znaczy, że już jest lepiej.



Olga Tokarczuk  
„Moment niedźwiedzia”,  
Wydawnictwo Krytyka Polityczna  
Warszawa 2012

### WOJTEK KALUŻYŃSKI

Tobyl ich rok, choć w oscarowym wyścigu obaj są największymi przegranymi. Zwłaszcza Fassbender dzięki brawurowej kreacji we „Wstydzie” Steve’a McQueena (recenzja na s. 44) uchwodził za murowanego kandydata do statuetki dla najlepszego aktora. Stawiali na niego krytycy, publiczność, nawet bukmacherzy dawali mu 50 proc. szans na zwycięstwo. Tymczasem nie dostał nawet nominacji. Pani aktora w proteście przekazała Akademii Filmowej komunikat: „Shame on you, Mr. Oscar, shame on you!” (Wstydy, Panie Oscar, wstydy!).

Rola we „Wstydzie” to bezdyskusyjnie najlepsza kreacja w dotychczasowej karierze Michaela Fassbendera. Po stać „niewolnika penisa” poza fizycznym obnażeniem wymagała od niego zmierznięcia z własną seksualnością przed kamerą. „Nie spodziewałem się tego, co zobaczyłem po montażu. Przez prawie pół filmu zasłaniałem oczy” – mówił po premierze.

McQueen nie zawahał się go nazywać aktorskim geniuszem i zadeklarował, że chce z nim pracować do końca życia. Razem zrobili wcześniej świetnie przyjęty „Głód”. Po tej roli Fassbender został okrzyknięty jednym z liderów nowej generacji aktorów, mających dokonać zmiany warty w Hollywood. Krytycy chwaliли jego warsztat, reżyserom nie starczało pochwał co do jego profesjonalizmu. Ale dopiero „Wstydy” uczynił z niego pokoleniową ikonę. Obwołano go nowym symbolem seksu. Wizerunek łączący Fassbendera z graną przez niego we „Wstydzie” postacią uzależnionego od seksu człowieka sukcesu umiejętnie podchwyciły też media. Włoska edycja GQ swój piktorial z aktorem zatytułowała nie bez przyczyny „Homo eroticus”.

Tyle że aktor skutecznie utrudnia przyczepienie sobie takiej czy jakiegokolwiek innej metki. Ciało nie jest dla niego fetyszem, a narzędziem, którego używa z niedawno jeszcze niemożliwą w Hollywood odwagą. Nie boi się na potrzeby roli poddać się gruntownym metamorfozom: stać się brzydkim, odpychającym, niemieckim.



Michael Fassbender



Ryan Gosling

## Homo eroticus na miarę czasów

Po śmierci Heatha Ledgera nie było przez jakiś czas nikogo, kto objąłby po nim schedę pokoleniowego idola. Teraz kandydatów jest aż dwóch. To Michael Fassbender i Ryan Gosling

Gra „na przekór” swoim warunkom i fizjonomii. Mówi się o nim jako o aktorze uniwersalnym. Nie bez racji, bo równie dobrze wypada jako nadnaturalny mutant w „X-Men: Pierwsza klasa”, umięśniony wojownik w „300”, wiktoriański arystokrata w „Jane Eyre”, przeciętniak z angielskiego przedmieścia w „Fish Tank” czy trudny do rozpoznania Carl Gustaw Jung w „Niebezpiecznej metodzie”. Dzięki temu zdobywa serca zarówno rozmarzonych bibliotekarek, jak i przebojowych bizneswoman.

W drodze do tytułu najgorętszego obiektu uwielbienia ma tylko jednego rywala – Ryana Goslinga. Cztery lata młodszego (ma 31 lat) i z nieco odmienną aktorską historią. O ile Fassbender sukces osiągał stopniowo, grając role różnorodne, o tyle Gosling błysnął młodzieńczym gniewem już przed 11 laty w „Fanatyku”. Potem próbowano na siłę wcisnąć go w gorsecik amanta, obsadzając choćby w „Pamiętniku” (2004), po którym stał się obiektem pensjonarskich westchnień. Na kilka lat jego kariera utknęła w martwym punkcie, mimo kilku ciekawych występów, m.in.

w „Miłości Larsa” (2007), aż w końcu w ubiegłym roku objawił światu trzy nowe wcielenia: idealisty przechodzącego kurs politycznej brutalności w „Idach marcowych”, podrywacza po trzydziestce w „Kocha, lubi, szanuje” i wreszcie małomównego kierowcy w „Drive”.

Pośród damskiej widowni zarysowuje się coraz bardziej wyraźny podział na „team Ryan” (Gosling) i „team Michael” (Fassbender) – każda grupa przekonana jest o tym, że to ich idol jest najbardziej charyzmatycznym aktorem młodego pokolenia. Gosling inaczej niż Fassbender zgadza się na rozkładówki w „Playboyu”. Tyle że jego seksapil sprzedawany w mediach jest ostentacyjnie przerysowany, upozowany na niedzisiejszą modłę. W owej ostentacji i skrajności kryje się pastisz kultu, jakim cieszyli się dawni „chłopcy z plakatów” od Johna Travolty poczynając, na młodym Bradzie Pittcie kończąc. Zaś poza szlachetnego outsidera w skórzanej kurtce i wykałaczką między zębami ma wyraźne źródło

w buntowniczej legendzie Jamesa Deana. Nic zatem dziwnego, że na punkcie Goslinga zwarowali przede wszystkim czujący przewrotność jego kreacji młodzi intelektualiści.

Ani Fassbender, ani Gosling nie mają jeszcze biograficznej legendy na miarę Ledgera, ale w końcu i on na dobre stał się mitem dopiero po tragicznej śmierci. Tak jak Ledger obaj uchodzą za zbuntowanych, choć każdy inaczej buduje wizerunek antycyacha. Przedmiotem owego buntu w obu przypadkach jest dotychczasowy hollywoodzki system. Obaj aktorzy nie pozwalają, po licznych przejściach, obsadzać się według stereotypowych schematów. Obaj są świadomymi pułapki type castingu. Dlatego stawiają na różnorodność, transformację ciała, odmiennosć bohaterów. W dzisiejszym stabloidyzowanym świecie nawet i to wystarczy, by zapracować na miano charyzmatycznego. Przez młodych, którzy niczego nie czują lepiej niż ściema, zostali jednak „kupieni” i mają szansę swą tanio zdobytą charyzmę przekuć nie tylko na Oscary, ale na coś znacznie więcej.

# Nakręca mnie złość

Szukanie pracy, eksmisja do garażu, okupacja baru mlecznego? Dla Michała Kmiećka nie ma nieteatralnych tematów. W Teatrze Dramatycznym przygotowuje właśnie spektakl na podstawie „Zbrodni i kary”

JACEK TOMCZUK

Napisz, że jestem dzieckiem Internetu, przedstawicielem smutnego pokolenia umów śmieciowych. I jeszcze to, że mam gdzieś ładne spektakle – mówi Michał Kmiećka. Ma 20 lat, maturę i własny pomysł na teatr. Nie nowy, ale wyrazisty. Mówią o nim teatralny syn Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, głos polskich oburzonych. To tylko etykiety. Atrakcyjność Kmiećki polega na czym innym, wprowadził do teatru tematy, które wypchnęły jego rówieśników na ulice Warszawy czy Madrytu. – Teatr to trybuna, publicystyka, ma być aktualny. Wypali się po dwóch miesiącach, nie ma problemu. Nie wierzę w spektakle wychowujące pokolenia widzów. Coś z nimi jest nie tak. Mój zagraniczny kilka razy i zjedzie z afisza. Po co mam silić się na jakiś uniwersalizm? Trzeba uderzyć konkretem. Chcę robić sztukę, która koresponduje z codziennością widzów – mówi o życiu w mieście, tu i teraz. Michał Kmiećka lubi deklaracje, ale nie rzuca słów na wiatr.

W jego adaptacji „Zbrodni i kary” w Teatrze Dramatycznym Raskolnikow będzie okupował warszawski bar Prasowy. Ten bar mleczny został zamknięty przez władze dzielnicy Śródmieście, a następnie odbity przez aktywistów pod koniec grudnia. Lichwiarka Alona Iwanowna zastanawia się, kto zabił Jolantę Brzeską, działaczkę warszawskiego stowarzyszenia lokatorów, która spłonęła w Lesie Kabackim. Wśród podejrzanych – Lars von Trier,



Michał Kmiećka – po premierze w Dramatycznym sprawdzi, czy czasami nie wyrzucono go z uczelni

który wyraził współczucie Hitlerowi, Anders Breivik, sprawca masakry na wyspie Utoya. Jest też właściciel kamienicy, proponujący lichwiarce wspólny interes: „Jakbym ją od pani kupił, to mógłbym w niej potem podnieść czynsze/nasać zbiorów na niepłacących mi lokatorów/później spalić jakąś łaskę w lesie pod Warszawą starszą kobietę/a po wszystkim wyburzyć kamienicę, i zbudować tam duży betonowy budynek ze szkła/i przywrócić Warszawie jej przedwojenną tożsamość i kształt”.

Pierwotnie, gdy dowiedział się, że teatralna postać będzie miała jego imię i nazwisko, zażądał zmian. Teatr i autor ustąpili. – Kmiećka potrafi być totalny w swojej wściekłości – mówi Krzysztof Mieszkowski, dyrektor Teatru Polskiego we Wrocławiu. – Też musiałem interweniować, kiedy robił u mnie spektakl w sierpniu.

## Przemebłować głowy

– To, co uprawia Kmiećka, nazwałbym rubrą dyskursywną – śmieje się Przemysław Czapliński, członek jury, które przyznało mu w grudniu 2011 r. główną nagrodę w konkursie dramaturgicznym „Metafory Rzeczywistości” za tekst „Śmierć pracownika”.

Tak jak jego starsi koledzy z Demirskiego na czele zdał sobie sprawę, że dziś przeciwnikiem dla teatru zaangażowanego nie są konkretne instytucje czy ludzie, ale język, który wyklucza poszczególne grupy społeczne, włącza postawy, tematy. Wyzwaniem jest przemebłowanie najpierw głów widzów, niekoniecznie świata. – I tutaj Kmiećka różni się od kolegów, on wydaje się nie zatrzymywać na poziomie języka, chce naprawdę dobrać się do rzeczywistości, zmienić ją – ocenia Czapliński.

Kmiećka nie pozwala zdominować się w tekście, związać się z postacią ani aktorom, ani widzą. Słowa przepływają przez postaci jak woda przez rurę. Ulubioną metodą jest przepisywanie, aktualizowanie, szukanie współczesnych dekoracji dla klasycznych tekstów. Kiedy jesienią 2009 r. napisał swoje „Wesele”, odbywało się w cieniu wojny o dopalacze i kolejnych informacji o drogach, które nie powstaną na Euro 2012. Panem młodym był Donald Tusk, który swoje wesele wykorzystał do odciążenia uwagi od prawdziwych kłopotów. Z wystawianej w Dramatycznym „Zbrodni i kary” z tekstu Dostojewskiego zostały tylko nazwiska bohaterów. Raskolnikow jako ubogi student z Ilawy zarabia pieniądze na zmywaku, a Alona Iwanowna musi doprosić się, by ktoś ją zabił.

## Etykiety są konieczne

„Śmierć pracownika” to anarchistyczny żart, punkowy kabaret o szukaniu pracy w niewielkiej firmie. Bohaterami są ludzkie marionetki o „imionach”: Asystent, Posiadacz, W sprawie pracy. Przed awansem społecznym... Sam zresztą testuje temat pracy na własnej skórze. – Wiem, że wchodzę do teatru jako młodziak, o moich współpracownikach w podobnym wieku mówi się nawet: młodszy tańsi. Zaczynam, nie mam szkoły teatralnej, mogą zaproponować mi niższe stawki, a ja oczywiście i tak się zgodzę. Jestem dyspozycyjny i chętny do współpracy... Żeby było jasne, uważam, że coś bytoby nie w porządku, jeżeli ktoś po pięciu latach akademii dostawałby tyle samo co ja po liceum – wyjaśnia Kmiećka.

Sam o sobie mówi „etatysta”, pewnie dlatego zarzeka się, że niczego nie robi w prywatnych teatrach, co wygląda na chuchanie na zimne, bo propozycji dotąd nie dostał. – Jakoś nie podobają mi się żerowanie Karolaków, Żebrowskich na systemie teatrów miejskich. Przecież angażują często aktorów zatrudnionych w tradycyjnych teatrach. Podatnicy płacą na nie, a zatrudnieni tam aktorzy odwalają ich pracę w IMKA czy w 6. piętrze. Nie chciałbym umacniać patologicznego systemu.

Katarzyna Szustow z Teatru Dramatycznego – Kmiećka stwarza aurę wyrotowca, ale należy do pokolenia, które doskonale umie znaleźć się w systemie, przecież nie robi teatru za swoje pieniądze w garażu. Od razu zgłosił się do nas, największego miejskiego teatru w Warszawie. Ma świadomość nie tylko sztuki, ale i opakowania. Żaden reżyser nie zwrócił mi uwagi, że w złym miejscu foyer powiesił plakat jego spektaklu, a pracowałam z wieloma, Michał był pierwszy.

Texty swoich sztuk buduje niczym układankę z zużytych elementów: a to z piosenki, to z informacji, z gazetowego artykułu. Statystyka oblatanych egzaminów maturalnych miesza się ze statystyką studentek żyjących z prostytucji, środowiskowe żarty z Doroty Masłowskiej z rozliczeniem wojny w Afganistanie, Brecht z Broniewskim, teksty z Facebooka z ogłoszeniami o pracę. To wszystko już było, Kmiećka wydaje się zadłużony u Pawła Demirskiego w nie mniejszym stopniu niż Grecja w niemieckich bankach. Tyle że on niczego nie ukrywa. – To kolejna lekcja, jaką odrobiło pokolenie młodych twórców. Dziś etykiety nie przeszkadzają, raczej są konieczne w procesie komunikacji z widzami, mediami. Kmiećka daje czytelny sygnał, jak interpretować jego teatr – ocenia Czapliński.

– Pierwszy raz świadomie na spektakl poszedłem w styczniu 2010 r. Na „Transfer” Jana Klaty we Wrocławiu. Miałem złe skojarzenia z teatrem, że chodzi się tam, by potwierdzić swój status kulturalno-ekonomiczny. Kupiłem bilet za 25 zł i żeby nie siedzieć na głodniaku, poszedłem za pozostałe 2,5 do baru mlecznego, żeby coś zjeść. Wchodzę do odpicowanego Teatru Polskiego i czuję, że jest źle. Nie pomagał fakt, że na scenie produkowało się czterech starszych panów. Aż z głośników poleciało „Day of the Lords” Joy Division. Kwadrans wystarczył, bym poczuł, że teatr może mówić moim głosem. Dałem się wciągnąć.

Na „Dantonie” był siedem razy, na „Transferze” sześć, aż trafił na Strzępkę i Demirskiego. Stali pod teatrem na papierosie. – Nie byłem pewien, czy to oni, podszedłem, coś mruknąłem, że piszę. Dałem Pawłowi do przeczytania swoje „Wesele” i się zaczęło – wspomina. – Następnie razem to oni mnie zaczęli w tajemniczyli w organizację fikcyjnego ruchu społecznego – ruchu gejów walczących o sektor na trybunach podczas Euro 2012. W swoim stylu stwierdzili, że skoro znam tajemnicę, muszę im pomóc. A jak nie, to mnie zabiją.

Kmiećka wysyłał w imieniu ruchu petycje, listy, apelacje. Kiedy poinformowała o tym jedna z zachodnich agencji prasowych, zaczęło się szaleństwo. – Na stadionie Polonii Warszawa udzielałem wywiadu telewizji niemieckiej, we Wrocławiu rosyjskiej, z angielską rozmawiałem przez telefon.

## Lokatorzy mają głos

Mówią o nim: beczelny, charyzmatyczny, przebojowy. – Na organizowany przez nas konkurs w maju 2012 r. przysłał tekst, trzy strony reinterpretacji Brechta, Hansa Casterpa i działalności naszego teatru. To było

naprawdę błyskotliwe. Nagrodą była praca z aktorami, rodzaj warsztatów. Jak przyjechała, zobaczyłam chłopaka o twarzy 13-latka, myślę: „Boże, jak on będzie pracował z aktorami? Przecież go zjedzą”. A on tylko poprosił o przesunięcie prób, bo miał maturę – mówi Szustow.

Mieszkowski: – Zgłosił się do nas już z gotowym projektem, miał tekst, obsadę. Prosił tylko o miejsce na próby. Weszliśmy w to.

W spektaklu „Karabiny pana Youdego. Dobry człowiek z Hubei”, pokazywanym w domu hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego na wrocławskich Krzykach, autentyczni lokatorzy sprywatyzowanych kamienic opowiadają o swoich bataliach z właścicielami, którzy nie respektują ich praw, odcinają gaz, zastraszają. Wcześniej aktor Wiesław Cichy mówi monolog Yanga Youdego, rolnika z prowincji Hubei w Chinach, który stał się symbolem oporu przeciwko bezwzględny metodom deweloperów. Kiedy ochroniarze chcieli go usunąć z gospodarstwa, odpowiedział ogniem z domowej roboty dział.

Kmiećka: – Szukaliśmy ludzi którzy opowiedzą nam swoją historię. Nie chodziło o wzbudzenie litości, ale o prosty przekaz, że w cieniu tego wielkiego święta klasy średniej, jakim był Europejski Kongres Kultury, dzieją się rzeczy niezbyt przyjemne.

## Miesiąc studiowania

– Chłopak zrobił jeden spektakl, napisał dwa dramaty i jest uznawany za nadzieję polskiego teatru. To tylko świadczy o stanie środowiska. Ciekawi mnie, co Kmiećka, jako przedstawiciel realnie młodego pokolenia (bo dziś nadal mówi się „młodzi” o 40-latkach), myśli o świecie, który zbudowaliśmy po 1989 r. – opowiada Maciej Nowak, dyrektor Instytutu Teatralnego. – Dotyka też tematów, których nie rozumieją starsi koledzy. Kiedy wybuchła sprawa z barem, próbowałem zainteresować nią kilka osób ze środowiska teatralnego. Bezskutecznie, nikt nie widział w tym temacie.

– Czuję ciśnienie wokół mnie, że przychodzi młody, świeży barbarzyńca, który przypierdoli wszystkim, będzie brudno, mocno i gniewnie. A mi zależy tylko na tym, by robić swoje, a to niekoniecznie musi być punkowe. Po premierze w Dramatycznym będę musiał się zorientować, co z moją szkołą. Studiuję filozofię na Uniwersytecie Wrocławskim, ale na zajęciach pojawiałem się przez pierwszy miesiąc, potem wciągnęła mnie premiera „Śmierci pracownika” w Poznaniu, a teraz Warszawa. Mam nadzieję, że jeszcze mnie nie wykreślili. Jak tak, to pójdę na bezrobocie.



### Zaczadzeni



Bohater „Wstyd” jest dokładnie takim podmiotem, jakiego chce współczesny kapitalizm

JAROSŁAW PIETRZAK

Wstyd to druga po fenomenalnym filmie „Głód” pełnometrażowa fabuła Brytyjczyka Steve’a McQueen’a. W wywiadzie dla brytyjskiego pisma „Sight & Sound” grający główną rolę w obydwu obrazach Michael Fassbender powiedział, że praca z McQueenem na planie tego filmu była niemal jak kontynuacja „Głodu”. Dla przypomnienia, w „Głodzie” Fassbender wcielił się w Bobby’ego Sandsa, członka IRA, który zagłodził się na śmierć w proteście

przeciwko odmowie przez premier Thatcher włączenia jego i jego towarzyszy do kategorii więźniów politycznych.

Jakub Majmurek napisał kiedyś trafnie o tamtym filmie, że to rzecz o tym, jak władza odcisnęła się na ciablach. „Wstyd” może być o tym samym, tylko na innym odcinku spektrum socjoekonomicznego i historycznego rozwoju kapitalizmu – na jego odcinku współczesnym, wśród relatywnie dobrze sytuowanej nowojorskiej klasy średniej. Brandon, bohater Fassbendera, pracuje na do-

brze płatnej posadzie w biurze późnokapitalistycznej korporacji. Tytułowy wstyd bierze się z mającego nad nim całkowitą władzę uzależnienia od seksu. Jego życie poza pracą składa się z przypadkowych kontaktów seksualnych z przypadkowo spotkanymi kobietami, w razie niepowodzenia podryw – z prostytutkami, seksu na odległość za pośrednictwem kamer i Internetu, masturbacji i codziennej konsumpcji pornografii.

Człowiek uzależniony jest podmiotem doskonałym i wymarzoną dla obecnej fazy kapitalizmu, którą charakteryzują chroniczna nadprodukcja i niewystarczające moce konsumpcyjne (bo realna siła nabywcza większości populacji planety maleje). Jest pod władzą swojej potrzeby, jej zaspokajanie tylko ją pomnaża, powodując pogoń za jej realizacją ponad fizyczne możliwości jego organizmu i bez względu na to, czy aby stan konta w banku mu na to pozwala. Uzależnienie jest też pułapką, w którą wpadają ludzie rozpaczliwie potrzebujący środka, który przytępi świadomość rzeczywistości, przyniesie zastępczy spokój w świecie wyalienowanej pracy niedającej satysfakcji, za to uwiezionej w siatce relacji władzy i presji na „wyniki” (wymienialnej co najwyżej za brak pracy i tym samym poczucia bezpieczeństwa). Takiej kompensacji Brandon pewnie kiedyś szukał – trudno powiedzieć, co konkretnie robi w pracy, co można odczytać jako wskazówkę, w jak niewielkim stopniu go ona interesuje. Daje jedynie środki na conocne towy w klubach, prostytutki i pornografię. I oficjalny wizerunek faceta, który sobie dobrze radzi, w przeciwieństwie do splukanej

siostry artystki Sissy (Carey Mulligan). Seksualna nadaktywność i zdobywanie kobiet poza zasięgiem przełożonego kompensują niższe miejsce w korporacyjnej hierarchii władzy i związane z tym frustracje.

Tak wyalienowany i unoszący się na powierzchni rzeczywistości bez żadnego osadzenia w jakiegokolwiek sieci głębszych społecznych więzi jest Brandon dokładnie takim podmiotem, jakiego chce współczesny kapitalizm. W tym właśnie celu kapitalizm odwrócił wektor dyscypliny seksualnej: zamiast represji – imperatywów nieprzerwanej aktywności, zdobywania wrażeń, seksualnej „wydajności”. Imperatyw, nowa technologia tresury, sprzedawana jako seksualne wyzwolenie. Im bardziej podmiot zostanie ujarzmiony (jak by to, w przekładzie Komendanta, powiedział Foucault) na wzór Brandona, tym bardziej nieprawdopodobne będzie, że poczuje wartość zaangażowania wspólnotą interesu z jakąkolwiek grupą ludzi; że poruszy go cokolwiek innego niż pęd do zaspokojenia własnych pragnień; że pomyśli o rzeczywistości w perspektywie dłuższej niż kilka planowanych do zaspokojenia w najbliższej przyszłości pragnień. I będzie konsumował – a więc wydawał pieniądze i wytwarzał śmieci – więcej, niż gdyby swoje mieszkanie i posiłki dzielił z innymi ludźmi, i gdyby każdej nocy nie musiał łowić nowej kobiety w drogich lokalach... I tak dalej.

\*\*\*\*\*

„Wstyd”, reż. Steve McQueen, Wielka Brytania 2011, 99’, Gutek Film, premiera 24 lutego

### Wiele hałasu o nic

„Sponsoring” walczy z mieszczańską hipokryzją o kilka dekad za późno

Wchodzący na ekrany w atmosferze skandalu i kontrowersji film Małgorzaty Szumowskiej jest, paradoksalnie, szalenie zachowawczy i konserwatywny. Nie dowiedzie się też niczego nowego o prostytucji wśród francuskich studentek, bo wbrew polskiemu tytułowi (oryginalny brzmi „Elles” – czyli „One”) to nie sponsoring jest tu głównym tematem. Centralna postać filmu to dziennikarka „Elle” Anna (Juliette Binoche), która szykuje artykuł o seksie za pieniądze. Ma dwie bohaterki – ubogą Francuzkę z przedmieść i Polkę (świetna Joanna Kulig) studiującą w Paryżu. Śledzimy dzień z życia An-

ny, gdy ta jednocześnie pisze tekst w domu, krząta się i szykuje kolację dla szefa męża. Jest podporządkowana obowiązkom, potrzebom męża, syna, pisma i snuje się po domu jak duch. Jest taka jak jej ubrania: półprzezroczyste, bezpłciowe, w zgaszonych kolorach. Jej przeciwnictwem są zmysłowe studentki traktujące seks nonszalancko i niebolejące nad tym, że ich praca polega na robieniu fellatio, a nie hamburgerów w fast foodzie, skoro w zamian stać je na dobre życie. Anna patrzy na nie z pogardą podziwając fascynacją, bo choć pisze dla „Elle”, rumieni się na samą myśl o seksie.

Szumowska, trochę nieświadomie, dotyka tu tematu znacznie bardziej ciekawego i kontrowersyjnego niż



płatna miłość: seksualności starzejących się kobiet, o której się nie mówi, udając, że nie istnieje. Niestety, wkłada to w banalne klisze o mieszczańskim fałszu każącym oddzielić małżeństwo od miłości, co było skandalizujące w czasach „Piękności dnia”. Szumowska jest zdolną, wyczuloną na detale reżyserką, ale tak się sili na pokazanie prawdy, że paradoksalnie osiąga fałsz: długie zbliżenia

na twarz Binoche są sztuczne i manieryczne, podobnie jak niedomykająca się lodówka sprowadzająca, że w życiu Anny coś nie działa. W efekcie film nie jest ani trochę rewolucyjny, a momentami staje się niezamierzenie śmieszny, jak w scenie, w której nastoletni syn obnaża hipokryzję rodziców, wyważając dawno otwarte drzwi. Widać, że Szumowska zna filmy modnych europejskich reżyserów takich jak Gaspar Noe czy Ulrich Seidl. Niestety, z tych inspiracji niewiele wynika, bo choć reżyserka marzy o byciu skandalizującą bohaterką.

\*\*\*

„Sponsoring”, reż. Małgosza Szumowska, Francja, Polska, Niemcy 2011, 100’, Kino Świat, premiera 17 lutego



### Smutny Bacharach

Z polskiej perspektywy każdy artysta z Nashville jest ekscentrykiem. W przypadku Kurta Wagnera to komplement

JACEK SKOLIMOWSKI

Pierwszy utwór na płycie należy brać dosłownie. Napisałem go, kiedy rodzina żony przyjechała na święta i siedziała u nas do końca roku. W śmie 12 dorosłych osób i piątka dzieci. Nie wiedziałem, co mam ze sobą robić i gdzie mam się ukryć przed dziećmi... Tak lider Lambchop zdradza kulisy powstania „If Not Us, Just Die”. Choć to niejedyny żartowniś Kurta Wagnera na „Mr. M”.

Po śmierci przyjaciela i muzyka Vica Chesnutta trzy lata temu artysta chciał zakończyć karierę i zostać marlarzem. Pewnego dnia poczuł jednak, że musi nagrać jeszcze jeden album. Dla Chesnutta.

Wagner wspomina w tekstach wspólne kolacje, wieczory na werandzie w swoim domu w Nashville oraz lata spędzone daleko od siebie, kiedy przyjaciel mieszkał samotnie w stanie Georgia. Nawet jego opowieść o tym, jak podczas wycieczki w góry nagle poczuł na karku deli-

katny powiew wiatru i zobaczył nad sobą rozjaśnione niebo, brzmi nostalgicznie i niegłupio. Pieśni Kurta nie są jednak kliwne, a nastrojowe, eleganckie i pięknie zaaranżowane. Jakby lider Lambchop był smutnym Burtem Bacharachem.



\*\*\*\*\* Lambchop, „Mr. M”, Merge

### Wygrzany funkkiem

Ponoć Łódź potrzebuje nowego superbohatera na miarę O.S.T.R. Cóż, właśnie go dostała

Choć Wyga w pełnym wymiarze właśnie debiutuje, to obyło się bez charakterystycznych dla żółtodziobów błędów. A to dlatego, że za marką tą stoi wyjadacz, raper ceniony za dwie bardzo dobre płyty zespołu Afront i bliższy hardcore’owym brzmieniom projekt Bakflip. Do tej pory nie zależało mu na rozgłosie, tym razem postanowił wziąć scenę szturmem. Z tych ambicji można się śmiać, przynajmniej do momentu, w którym nie zapoznamy się z materiałem. „Wyga.co” to petarda odpalona dzięki hiphopowemu prochowi, ale eksplodująca p-funkiem, g-funkiem, rockiem, jazz-hopem czy nawet bluesem. Wyga rapuje bardzo wprost. Ale bez niepotrzebnego prymitywizmu. Ot, łódzkie życie pełne pracy, używek, muzyki i pasji do niej, przedstawione z właściwą dawką impertynencji. O wyjątkowej słuchalności tej pozycji decydują również rzeczy pozornie drugoplanowe – dykcja rapera, jakość dźwięku czy oprawa graficzna. FLINT



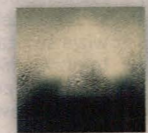
\*\*\*\*\* Wyga, „Wyga.co”, Embryo

### Ku pamięci

Trzech wybitnych muzyków, podwójna płyta nagrała w klubie Blue Note i jeden cel – złożyć hołd Billowi Evansowi

Perkusista Paul Motian zaczynał karierę w połowie lat 50., a basista Eddie Gomez i pianista Chick Corea dekadę później. Wspólnie godzinami mogliby snuć anegdoty o Davisie, Coltranie, Parkerze, Gillespiem i Monk. Jednak jeszcze lepiej idzie im wspomnianie złotych lat jazzu, kiedy ze sobą grają. W listopadzie 2010 r. przez dwa tygodnie spotykali się na scenie klubu Blue Note, żeby złożyć hołd ich wspólnemu mistrzowi – pianście Billowi

Evansowi. Oprócz interpretacji klasycznego „Peri’s Scope”, karkołomnego „Turn Out the Stars”, delikatnego „Very Early” nie zabrakło spontanicznych improwizacji w „Hot House” czy własnej kompozycji „Bill Evans”. Dziś może nie jest to odkrywczą muzyką, ale słuchanie takich gigantów w akcji robi wrażenie. Album „Further Explorations”, który jest efektem tamtych sesji, miał być hołdem dla Evansa, a stał się pamiątką po Paulu Motianie, który zmarł w listopadzie zeszłego roku. JAS



\*\*\*\* Chick Corea, „Further Explorations”, Concord Jazz

### Mamuśka dorzuca do pieca

Czarny groove spotyka białą muzykę gitarową

Warszawscy debiutanci serwują nowoczesny, miejski repertuar, z dobrze rozgrzaną sekcją rytmiczną i pazurami w wersach oraz riffach. Imponuje finezja i warsztat gitarzysty Grzegorza Stańczyka. Frontman Igor Seider okazuje się raperem na tyle muzycznym, by osoby odbierające polski hip-hop jako jedno wielkie skandowanie mogły go polubić. I do tego jeszcze dobrze pisze. Dlatego słuchając „3,2,1...!” warto zostawić szufladki, również tę najbardziej kuszącą, z napisem „polska wersja Rage Against the Machine”. Po prostu pozwólmy rozbijać się skrojonej po hendricksowsku, zdmiewającej

popową siłą rażenia „Mistrzynie Kamuflażu”. Albo zamyśliły się przy ładnym, lirycznym „Dymie”. I miejmy świadomość, że pozostałe kawałki również nie rozczarują, gdyż wypełniaczy nie przewidziano. Funkcorowa jazda Mamy Selity musi się podobać, nawet jeśli nie zawsze jest płynna. Zespół szybko się rozpęda i nazbyt gwałtownie hamuje, poza tym nie wszystkie kierunki, w stronę których skręca, wydają się właściwe. Mimo to dobrze, że wreszcie zaparkował na polskiej scenie. FLINT



\*\*\*\* Mama Selita, „3,2,1...!”, Aloha



# Polskie upiory łagodnieją

Popularna opowieść o polskich losach z wielką miłością w tle? Dlaczego nie? Zwłaszcza dobrze napisana. Jak „Mr. Pebble i Gruda” Mariusza Ziomeckiego

PIOTR KĘPIŃSKI

Polskie losy według „pisarzy pravicowych” nie mają nic wspólnego z Polską Michała Witkowskiego, Manueli Gretkowskiej czy Doroty Masłowskiej. Te światy wzajemnie się znoszą, nie ma tutaj miejsc wspólnych ani prób porozumienia. Pravicowe gazety od lat, z uporem godnym lepszej sprawy, dyskwalifikują powieści Gretkowskiej, wysmiewają Witkowskiego, pomijają Masłowską. Chociaż – nie chciałbym być źle zrozumiany – ci autorzy nie wypisują na swoich sztandarach wartości lewicowych, nie piszą manifestów, oni po prostu tworzą inną literaturę, która nie wpisuje się w dyskurs pravicowy. Ale i tak nazywani bywają z pogardą – liberalnymi autorami na usługach ponowoczesności. A liberalizm – jak wiemy – jest be, kiedy wartości pravicowe są cacy. Z jednej strony dyktujący warunki lewicowo-liberalny literacki salon, a z drugiej odważny, bezkompromisowy pravicowo-konserwatywny antysalon, który został wykluczony z życia społecznego i dzisiaj egzystuje tylko w katakumbach wysokonakładowych gazet. Jakże to proste.

## Czerń i biel

Nie chodzę na spotkania salonowe, ale wiem jedno: od lat czytam powieści Rafała Żemkiewicza, Bronisława Wildsteina czy Andrzeja Horubały i jakoś nie dostrzegłem w nich tego błysku, który czasami pojawia się w książkach Witkowskiego czy Gretkowskiej. Choć też nie twierdzę, że ci autorzy zawsze piszą dzieła znakomite. Bywa różnie. Niemniej jednak po ich stronie pozostają język, pomysł, konstrukcja bohaterów, pasja – próba zrozumienia świata. Po drugiej – jeśli by poprowadzić ten wywód grubą kreską – jest wyłącznie publicystyka.

I w sumie zawsze żałowałem, że nie narodził się w Polsce pisarz, który potrafiłby umiejętnie połączyć komentatorską pasję z popularną literaturą (Witkowski, Gretkowska czy też Olga Tokarczuk tego nie potrafią), z którym mógłbym się zgodzić, z którym mógłbym podyskutować, który w odróżnieniu od pisarzy pravicowych potrafiłby dostrzec wszelkie niuanse egzystencji. Czarno-biała wizja świata nie jest chyba zbyt ciekawa. I z pewnością przypomina pozytywistyczne gnioły oraz socjalistyczne produkcyjniaki, o czym samoświadomi pisarze pravicowi winni chyba wiedzieć. Taka litera-

tura jest może i momentami całkiem potrzebna, kiedy prezentuje inne racje, ale wydaje się, że nie przetrwa próby czasu. Odejdzie do lamusa i nawet studenci polonistyki nie będą tego czytać.

I zupełnie przez przypadek trafiłem ostatnio na powieść Mariusza Ziomeckiego „Mr. Pebble i Gruda”. Ziomecki i powieść? Ten Ziomecki? Tak, tak – pomyłki żadnej tu nie ma. Były naczelnym „Super Expressu”, „Przekroju” i Superstacji, nie jest zresztą literackim nowicjuszem. Ma na swoim koncie wydaną dziesięć lat temu powieść „Lato nieśmiertelnych”, o której myślałem, że była jego debiutem. Ziomecki, z którym rozmawiałem w jego mieszkaniu, przy warszawskim Dworcu Gdańskim, zaprzecza: – Niezupełnie. Kiedy mieszkałem w Stanach i pracowałem w dzienniku „The Detroit Free Press”, szlifowałem angielski, pisząc powieść. Pomyślałem, że to będzie najlepszy sposób, żeby nauczyć się tego języka perfekcyjnie.

Książkę dokończył i wysłał nawet do agenta literackiego, jednego z najlepszych w USA. Odpowiedź, którą dostał, brzmiała mu w uszach do dzisiaj: „Powieść jest dobrze napisana, ciekawa, ale jej akcja podąża donikąd”. W „Mr. Pebble i Grudzie” już takiego błędu nie popełnił. Powieść ma swoją dynamikę, losy bohaterów zostały ciekawie skonstruowane, elementy publicystyczne mieszają się z literaturą, wątki sensacyjne przeplatają z poezją, luzka pułkość styka się tu z czułością i małostkowością. Jest też zaskakująca puenta.

Kiedy pytam Ziomeckiego, dlaczego tę książkę napisał, odpowiada, że przede wszystkim dlatego, iż brakowało mu panoramicznej opowieści, w której zawarte zostałyby wszystkie albo prawie wszystkie doświadczenia polskiego inteligenta. Faktycznie, w „Mr. Pebble...” zobaczymy, bardzo plastycznie nakreśloną Warszawę lat 60. i 70. – dawno nie czytałem lepszej, zobaczymy słynną trasę E-7, którą do Radomia jeździli dysydenci na rozprawę sądową robotników strajkujących w 1970 r., podobnie jak bohaterzy Ziomeckiego. Zobaczymy wszystkie polskie tragedie: antysemityzm, ksenofobie, donosicielstwo, tragedię powstania warszawskiego, rok 1968, wloty i upadki „Solidarności”.

## Na początku było... samobójstwo

Ta opowieść toczy się na kilku poziomach, a wszystko scala z lekką sensacyjną wątkiem dochodzenia do prawdy o operacji prokuratury wojсковой wymierzonej w działalność grupy opozycyjnej, do której należeli znajomi głównego bohatera książki Jana Kamyka (to tytułowy Mr. Pebble). – Chciałem opowiedzieć ciekawą historię, bo świat, który znamy, ginie na naszych oczach – mówi Ziomecki. I dodaje, że nie zależało mu wyłącznie na napisaniu opowieści publicystycznej. – Nie interesuje mnie literatura z tezą.

Istotnie, „Mr. Pebble...” to nie tylko powieść wielowątkowa, ale także wielogłosowa. Każda z postaci tutaj zarysowanych ma swoje racje, by-

najmniej nie tylko liberalne. Ludzie nie są karykaturami samych siebie. Mają prawo do swoich błędów, a nawet do bezceństw, które zdarzyło im się popełnić. W przeciwieństwie do powieści Wildsteina czy Horubały, w których zło jest złem, dobro dobrem, a innych możliwości nie ma.

W książce Ziomeckiego ujrzymy całą gamę polskich życiorysów: usłyszymy redaktora naczelnego jednego z warszawskich tabloidów, zobaczymy karierowiczów, szpicli, ludzi kompletnie zagubionych i donosicieli. Autor chce ich wszystkich zrozumieć, żadnego swojego bohatera nie odrzuca. A wszystko zaczyna się od samobójstwa Marietty – żony głównego bohatera, która w 1984 r. skoczyła z budynku PAST-y. Po tej tragedii Jan Kamyk z synem wyjeżdża szybko do Stanów Zjednoczonych. Jedyne, czego pragnie, to zapomnieć, nie tylko o tragicznym wydarzeniu, ale także o swoich korzeniach, o znajomych, Polsce i upiorach tego kraju.

„Odbudowałem się jako poeta i z czasem zacząłem nawet pisać po angielsku, co najbardziej zdumiewało mnie samego. Uniknąłem doświadczeń początkujących emigrantów, degradacji towarzyskiej i pracy fizycznej przy «klinowaniu ofisów» albo smołowaniu dachów. Zatarłem za sobą ślady tak dokładnie, jak potrafiłem”.

Bohater zmienia nawet nazwisko i wtapia się w krajobraz. Wydaje się, że czeka go już tylko spokojna amerykańska starość. Nic z tych rzeczy, pewnego dnia paparazzi z Warszawy wręcza mu kasety z nagraniem, profesor rozpoznaje na nim głos swojej zmarłej żony. Nagle wraca do niego Polska. Akcja zaczyna się na nowo. Pojawia się nadzieja na to, że Kamyk zrozumie koszmara, który go dotknął.

Ta literacka konstrukcja nie jest oczywiście ani zaskakująca, ani specjalnie nowa. Ziomecki zręcznie z niej korzysta, żeby z dystansu opowiedzieć z jednej strony historię wielkiej miłości, a z drugiej podsumować albo raczej skomentować Polskę, która go drażni i boli. Bliska jest mu, chyba, idea Williama Blake’a, który twierdził, że piekło nie jest miejscem wiecznej karni, ale również źródłem energii: „Dobro to bierność posłuszna Rozumowi, Zło to aktywność wyrastająca z Energii”.

Taka jest Ameryka, taka jest też i Polska. Detroit, w pobliżu którego Kamyk się osiedlił, nie jest przecież miejscem idealnym – to cementarz ludzkich nadziei, czasami piekło, Warszawa – podobnie. Nigdzie nie ma idylli. Za oceanem swoje rozgrywki prowadzą islamscy terroryści, w Polsce szaleje lustracja, byli agenci żyją jak pączki w masle, wszędzie chaos. Na emocjach grają ci pozytywni i negatywni bohaterowie tej powieści. – Przecież wszyscy jesteśmy manipulatorami – podsumowuje Ziomecki. – A idea wolności nie jest łatwą ideą.

I trzeba nauczyć się z niej korzystać. A w Polsce ciągle się jej uczymy. Żółć i nienawiść to nasze znaki firmowe. Bardzo łatwo wykluczamy się z życia. Inwektywy, pomówienia, pomyje. Agresja, za-

piekłość. – My zawsze wiemy też, co siedzi w głowach innych – podsumowuje Ziomecki.

W programach publicystycznych, dawniej i dzisiaj, przeciwnika dyskredytuje się prostym sierpowym: pani/pan myśli tak i owak. Żadnych niuansów, jak w prostej, popularnej pravicowej literaturze.

## Schizofreniczny pejzaż

Być może dlatego tak dobrze czytało mi się fragmenty powieści Ziomeckiego komentujące lustrację po polsku, bo według autora wszyscy jesteśmy jej ofiarami. Także współpracownicy bezpieki. Takie opinie nie pojawiają się zbyt często w naszej popularnej literaturze. A jednocześnie nie ma w tej powieści żółci, chęci dokonania, jest momentami łagodna rezygnacja. – Ja nawet rozumiem i tych lustratorów, i ich ofiary – wyjaśnia Ziomecki.

Bo nie jest łatwo poradzić sobie z lustracją w państwie, które zachowało ciągłość prawa. Najpierw legalnie działające instytucje łamały charakter, a teraz sądy mają je z tego rozliczać. Oto polska schizofrenia. Nasz pejzaż.

Powieść Ziomeckiego pozwala nam oswojać te nieprzyjemne przestrzenie i krajobrazy. Pozwala nam na dystans. Chociaż autor zdaje się mówić wyraźnie: z demonami zetknąć się musimy, ale w rozmowie z mną kilkakrotnie podkreśla, że każdy człowiek ma też prawo do terapii. – Nigdzie na świecie ludzi z traumami nie zostawia się samych sobie. Proszę spojrzeć na ludzi z Jedwabnego, najpierw państwo zaaplikowało im szok, a potem ich porzuciło. Tak się nie robi.

Ale autor oprócz tych typowo polskich tematów nie pozwala nam równocześnie zapomnieć, że życie oprócz smaku politycznego ma inne zapachy, znacznie przyjemniejsze. I chociaż nie wszystko w tej książce zachwyca, bo – to trzeba powiedzieć, momentami jest za bardzo przegadana, dialogi też czasami szwankują – to kto wie? Może jest to pierwsza taka popularna powieść, która – w przeciwieństwie do pravicowych, bardzo pesymistycznych wizji rzeczywistości proponuje nam optymistyczny nasz dalszy ciąg. Jaki? Tego nie mogę powiedzieć, to trzeba przeczytać.

Ziomecki: – Ja lubię dopisywać inne zakończenia do wydarzeń, które miały miejsce, lubię łagodzić twarde krawędzie życia.



ccccc

Mariusz Ziomecki,  
„Mr. Pebble i Gruda”,  
Czarna Owca, Warszawa 2011,  
s. 916, 59,90 zł

## Mironiczność

Luty 2012 r. zostanie zapamiętany jako miesiąc długo wyczekiwanej publikacji „Tajnego dziennika” Białoszewskiego

MARCIN SENDECKI

Trudno liczyć na to, że stanie się cud i odnajdą się cztery zeszyty autografu „Tajnego dziennika” (grudzień 1980–maj 1982), nigdy nienagrane ani nieprzepisane. Jak dowiadujemy się z przypisu, znalazły się w posiadaniu Leszka Solińskiego (przypadły mu prawa do spuścizny po Białoszewskim – z wyjątkiem jednak dziennika, oddanego w opiekę Annie i Tadeuszowi Sobolewskim) i najprawdopodobniej zostały zniszczone. Nie dowiemy się więc, co z tamtego czasu odcisnęło się (albo znacząco nie odcisnęło) w dziennikowym zapisie. Nie dowiemy się na przykład, jak z perspektywy Białoszewskiego wyglądało jedno z „wielkich spotkań”

polskiej literatury, czyli kurtuazyjna wizyta Miłosza w mrówkowcu na Lizbońskiej, znana wyłącznie z relacji Miłosza i towarzyszącego mu Ryszarda Matuszewskiego. Detal? Spory, lecz jednak detal. Ale co właściwie począć w tym króciutkim tekście z bez mała tysiącstronicowym „Tajnym dziennikiem” Mirona Białoszewskiego, jeśli nie przyjrzeć się tylko paru detalom? Przypomnijmy jeszcze, że z woli autora dziennik mógł ukazać się dopiero teraz – wyczekiwany, a nawet komentowany niejako awansem, na podstawie paru publikowanych od 1997 r. fragmentów – patrz zbiór szkiców „Białoszewski przed dziennikiem” pod redakcją Wojciecha Browarnego i Adama Poprawy wydany w roku 2010.

Wyczerpujące przypisy, które zawdzięczamy dawnej piw-owskiej redaktorce Białoszewskiego Mariannie Sokołowskiej, są w ogóle świetne i ważne, bo bez nich można by zgubić się w ludzkiej gęstwie bliższych i dalszych znajomych oraz najrozmaitszego autoramentu postaci przywoływanych w dzienniku. Wystarczy zresztą spojrzeć na indeks osób, by to pojąć. Jedyne może kłopot związany z edycją to, niebagatelna, kwestia tytułu. Sam Białoszewski swój zapis, prowadzony od 1975 r. (wcześniejszy dziennik zniszczył), podzielił na trzy części nazwane „Dokładane treści”, „Nadawanie” i „Pogorszenie”. „Tajny dziennik” jako nazwa własna dzieła bodaj nigdzie w tekście się nie pojawia. W towarzyszącej zaś „Dziennikowi” książ-



cccccc  
Miron Białoszewski  
„Tajny dziennik”,  
Znak, Kraków 2012,  
s. 944, 69,90 zł

ce Sobolewskiego „Człowiek Miron” – mierzącej się i z fenomenem Białoszewskiego, i zdającej sprawę z własnego (oraz własnej rodziny) z nim spotkania – autor cytuje własny dziennik z 1983 r.: „Czytam tajny dziennik Mirona”. To by się domagało choćby wzmianki i potwierdzenia, że Białoszewski w swoim kręgu tak ten tekst nazywał. No bo co do „skandaliczności” stereotypowo związanej z „tajnością”, to oczywiście jej brak. Ot, troszeczkę rzeczy potencjalnie drażliwych przez swą intymność, parę bardzo dyskretnych spraw erotycznych – i tyle. Mnóstwo natomiast codziennego „dziania się”, wspomnień, kapitalnie zapisanych dialogów i gadań, innych wersji znanych skądinąd relacji ze sławnych wypra-

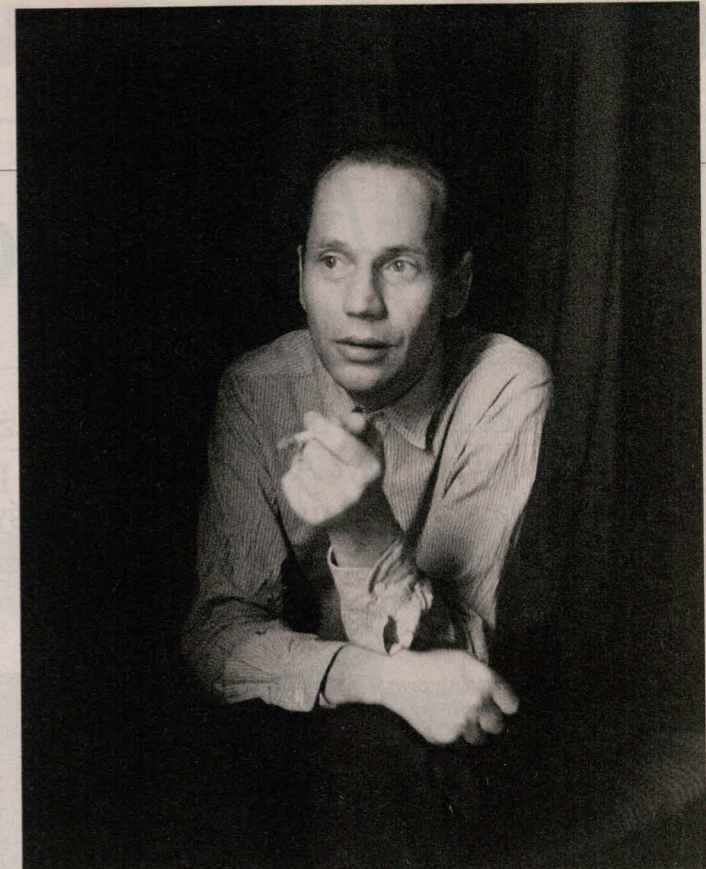
wycieczekdo Jugosławii, Egiptu czy Ameryki, a nawet dość zdumiewających na pozór refleksji lekturowych – jak pełna atencji notka o pisarstwie Jacka Londona. Czytając, jesteśmy zatem w srodoku Mironowego namiętnego pisania. On sam, w czerwcu 1978 r., powiada: „Dużo napisałem w ostatnich latach, dużo drukowałem. (...) A dalej chce mi się pisać. Przyjemność pisania jest niezastąpiona niczym”. Dziś rozkosz czytania (nawet partie „nudniejsze” czyta się bowiem z rozkoszą) także niczym niezastąpiona. Czymże bowiem zastąpić taki choćby noworoczny zapis z 1977 r.:

Zajęzdam do siebie. Otwieram okno. Czerwienieje coś od dołu ku switanu. Nadciąga z chmur brząsk. Zbiorowy. Porywający. Rosnie. Nadlatuje. Już nad nasze bloki. To czoło wroniej potęgi. Natchnione. Te pierwsze kupy. Machają niebem. Aż chce się poderwać i z nimi krakać, machać, lecieć. Całe chmurne niebo leci. Wrony za wronami. Ledwo odrywa się od nieba jako widoczna osobliwość. Z daleka te ich stada jakby dy-

miły ilościami. Przerwa. Zorza się przeniosła. W niebie blada dziura. Cisza. Patrzę. Słucham. Nadlatują nowe chóry. Natchnienie. Krakanie. Prędkie. I po kolei. Na szeroko. Pędem. I razem.

Niedługo przed śmiercią, 28 maja 1983 r., pisał ze szpitala w ostatnim z „Listów do Eumenid” (jak nazywał ibl-owską trójcę badaczek: Małgorzatę Baranowską, Marię Janion i Marię Żmigrodzką):  
*Dwa płaty (w lewym i prawym płucu) nieczynne. Serca tylko część. No, dobra jest. Co się da, to się da. Bardzo pozdrawiam MIRON*

No i tak to było, i jest. A że Tadeusz Sobolewski w swej książce cytuje nieznaną dotąd wiersze i opowiadania Mirona Białoszewskiego – to jeszcze wcale nie koniec. No i niech się nam tylko Miron Białoszewski nie okaże nagle, rosnąc i rosnąc w swym dziele, znany i oswojony tak dobrze, że aż „kultowy i magiczny”. Jak to on pisał? „Czy magia nie załatuje czasem mechanicznością i motłochem?”



Miron Białoszewski, Warszawa, 1964 r.

Janusz Sobolewski/FORUM

REKLAMA

NIE TAKA

**Matura**

STRASZNA

**Boisz się matury?**

Kup serię płyt z testami Matura 2012  
Obszerny zestaw ćwiczeń z matematyki, języka polskiego i angielskiego oraz obowiązkowych przedmiotów dodatkowych (historia, WOS, geografia, biologia, chemia, fizyka) zgodny z wytycznymi Centralnej Komisji Egzaminacyjnej.

**Matematyka** w poniedziałek, 20 lutego  
**Język polski** we wtorek, 21 lutego  
**Język angielski** w środę, 22 lutego  
**Przedmioty dodatkowe** w czwartek, 23 lutego

Tylko z „Rzeczpospolitą”

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

RZECZPOSPOLITA [rp.pl/hity](http://rp.pl/hity)

REKLAMA

**Matura 2012**

historia  
WOS  
geografia  
biologia  
chemia  
fizyka

matematyka  
język polski  
język angielski

RZECZPOSPOLITA





## Wystarczy być

EVA & ADELE bywają na wernisażach. To wszystko? W zasadzie tak. Czy to wystarczy? Absolutnie. Każą pisać swoje imiona wielkimi literami, zajmują się byciem sobą, są w tym świetne i zrobiły z tego dobrą sztukę. Najślynniejsze bywalczyńce współczesnego art worldu wystawiają w Krakowie

### STACH SZABLŃWSKI

**N**a imprezach artystycznych zawsze znajdzie się kilku freaków. Nawiasem mówiąc, nie tak wielu, jak można by się spodziewać. Cyganeria to już nie to samo co kiedyś, świat sztuki zrobił się bardzo mieszczański, a burzuje ekstrawaganccy. Na tym szarym tle tym wyraźniej widać oryginałów. Na przykład EVA i ADELE. To para jak Flip i Flap – Eva jest duża, ADELE mała. Obie są tyse jak kolano, w kosmicznych makijażach i jeszcze bardziej kosmicznych strojach, za każdym razem innych, ale niemal zawsze różowych.

Jest jeszcze coś. Nikt nie spotkał samotnej Ewy. Nikt nie widział ADELE solo. Razem za to widział je każdy, kto bywa na wielkich międzynarodowych imprezach artystycznych. Dostrzeżono je na plażach Miami w czasie targów sztuki Art Basel Miami Beach i w Londynie na targach Frieze. Były w Wenecji na Biennale, w Hiszpanii na Manifesta, na wernisażach w nowojorskim Guggenheim i na otwarciach w paryskim Palais de Tokyo. Oczywiście, można je spotkać na wystawach w ich rodzinnym Berlinie, pod warunkiem że to ważne wystawy. Na bank nie zabraknie ich na otwarciu tegorocznego berlińskiego Biennale ani na Documentach w Kassel. Jeżeli jesteście na wernisażu i nie ma na nim Ewy i ADELE, to znak, że wystawa, którą odwiedzasz, nie jest aż tak istotna, jak ci się wydawało.

### Po murze

To trwa już od 20 lat. EVA i ADELE po raz pierwszy pojawiły się w 1991 r. na otwarciu wystawy „Metropolis” w berlińskim Martin Gropius Bau. Moment był symboliczny, wystawa też. W powietrzu unosił się jeszcze kurz po upadku muru, który zresztą nie był do końca rozebrany. „Metropolis” było pierwszym wielkim projektem artystycznym zjednoczonego Berlina i pierwszą manifestacją ambicji miasta, które postanowiło zostać artystyczną stolicą Europy. Nie dało się ich przegapić, ale można by o nich zapomnieć – gdyby na to pozwoliły. Fenomen tej pary polega na żelaznej konsekwencji. Spektakularne kostiumy przyciągały uwagę, niezmienny image zapewnił im rozpoznawalność. Po dziesiątym wernisażu zaczęto je pamiętać, po setnym stało się ja-



sne, że ich obecność nie jest po prostu obecnością, lecz sztuką, a EVA i ADELE to projekt artystyczny. Sztuką może być wszystko, obecność Ewy i ADELE na wernisażach oczywiście też. Co jednak jest materia tego artystycznego przedsięwzięcia? Jaki jest jego sens? Skoro już mowa o sensach, to instytucja bywania jest esencją i kwintesencją życia artystycznego. Na wernisażach nikt przecież nie ogląda wystaw, na otwarciu Biennale też nikt nie jedzie po to, aby zobaczyć sztukę, może z wyjątkiem krytyków, którzy muszą z tych wydarzeń zrobić relacje. EVA i ADELE nie darmo przedstawiają się jako artystki konceptualne. Rzeczywiście, konceptualizują i nadają formę

temu, co jest sednem współczesnej sztuki, czyli pokazywaniu się publicznie ludzi ze środowiska na międzynarodowych imprezach. Sztuka jest przecież zjawiskiem społecznym, zwłaszcza jeżeli chodzi o społeczność ludzi, którzy zajmują się nią zawodowo.

### Tu jest muzeum

Na wernisażach EVA i ADELE nie robią nic specjalnego. Po prostu są obecne – i zawsze, ale to zawsze promiennie się uśmiechają. To dość, żeby zaliczyć je do grona współczesnych performerów. Czas pracuje na ich korzyść. Z EVA i ADELE jest z jak Romanem Opalką. Kiedy Opalka namalował pierwszy obraz zapełniony cyframi, był to po prostu konceptualno-malarski eksperyment, jeden z wielu. Malując cyfry przez resztę życia, zmienił swoje odliczanie w wielką egzystencjalną metaforę. Podobnie z EVA i ADELE – im dłużej prowadzą swoje performance, tym staje się on ciekawszy. W połowie lat 90. były zaledwie elementem lokalnego kolorytu sceny berlińskiej. Dziś myśli się już o nich w kategorii postaci wybitnych. W swoim gatunku mogą aspirować do pozycji mistrzów. Cóż to za gatunek?

Najogólniej mówiąc, chodzi o ten szczególny rodzaj twórczości, której materia jest sam artysta zmieniający się w żywe dzieło sztuki. Tego rodzaju praktyki artystyczne mają oczywiście swoją tradycję i współczesnych klasyków. Największym jest Andy Warhol, który swój image, wygląd i publiczną personę uczynił przedmiotem rozpisanej na całe życie artystycznego projektu. W tle majaczy Orlan, rzeźbiąca pracowicie swoją twarz z pomocą chirurgów plastycznych, ale także legendarna londyńska transwestyta Leigh Bowery, słynna w latach 90. Japonka Mariko Mori, która zmieniła się w cybersuperbohaterkę z filmów anime. Najbliższą analogią dla kreacji EVA i ADELE pozostaje jednak postawa Gilberta i George’a – i nie bez kozery berlińskie performerki nie przeobrażają za tym porównaniem. Brytyjscy artyści również pielęgnują niezmienny image – w ich wypadku są to tweedowe garnitury i fryzury z przedziałkiem. Tak jak EVA i ADELE stworzyli jedną tożsamość dla dwóch osób. Od kiedy w latach 70. Gilbert Prousch i George Passmore stali się Gilbertem i George’em, praktycznie

nikt nie widział żadnego z nich osobno. Gilbert i George nazywają samych siebie „living sculpture” – żywą rzeźbą. EVA i ADELE powiadają: „Gdziekolwiek jesteśmy – jest muzeum”.

Na morzu analogii unosi się jedna zasadnicza różnica. Andy Warhol był przede wszystkim autorem serigrafii, obrazów i filmów. Gilbert i George to twórcy słynnych widowiskowych fotokolaży. Artysta jako „żywa rzeźba” to tylko wisienka na torcie twórczości tych autorów. EVA i ADELE również tworzą obrazy i grafiki, ale to tylko elementy uzupełniające prawdziwe dzieło – czyli własne życie zmienione w permanentny performance.

### Przyszłość jest już teraz

Ich propozycja jest ciekawa, ponieważ jest radykalna. Artystki mówią, że przeistoczenie się w Ewę i ADELE (makijaż, garderoba, atrybuty) zajmuje im minimum trzy godziny, ale nigdy nie ruszają się z domu inaczej niż w pełnym rynsztunku – nie przyjmują też bez niego gości. Zerwały wszelkie nawiązujące je z dawnym życiem. Na pytanie, skąd pochodzą, odpowiadają, że z Przyszłości; podróżowały weliukiem czasu i postanowiły wylądować w Berlinie zaraz po upadku muru. W odróżnieniu od drobniażki ADELE EVA jest wysoka, barczysta i ma głęboki głos. Niedawno wygrała sprawę w niemieckim sądzie, który oficjalnie uznał ją za kobietę, mimo męskich cech płciowych. Dzięki temu mogły wreszcie wziąć ślub. W Niemczech możliwość zawierania związków partnerskich istnieje wprawdzie od dekady, ale artystki odwlekały ceremonię do czasu oficjalnego uznania przez system kobiecości Ewy. Element żeński dominuje także w kreacji performerek, chętnie noszących bajkowe suknie, artystki zwracają jednak uwagę na falkną symbolikę swoich tysich głów. – Stworzyłyśmy na własne potrzeby nową, autorską pleć – powiadają. Ta kreacja to fundament ich dzieła.

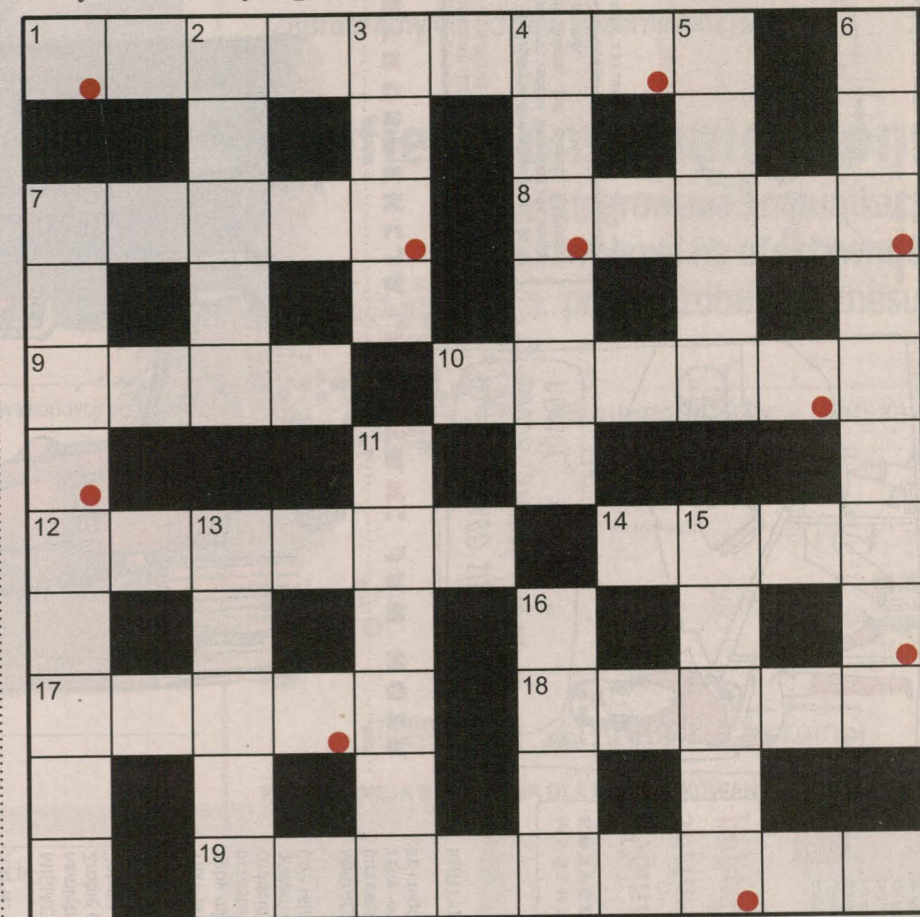
Na fundamencie można wznosić rozbudowaną konstrukcję. Jej częścią są obrazy, grafiki i rysunki. Jeden z cyklów namalowały na podstawie magazynów artystycznych, które umieściły ich zdjęcia na okładce (i zdarzało się to często). Inny, kontynuowany nieprzerwanie od Wilkunastu lat, to prace wykonane na podstawie zdjęć robionych im przez wernisażowych gości. EVA i ADELE wyglądają zjawiskowo, ludzi aż świerbia ręce, żeby je fotografować. Kiedy artystki zauważą, że ktoś pstryka fotki, podchodzą, podają adres i proszą o przesłanie odbitek, które później przerabiają na rysunki i obrazy. Ceny ich prac potrafią przekroczyć 30 tys. euro, ale bycie EVA & ADELE jest kosztowne. Nigdy nie występują dwa razy w tych samych kostiumach. Poza tym założenia ich projektu wymagają nieustannych podróży po całym świecie.

W dziele Ewy i ADELE jest jeszcze coś. Częścią ich ogólnego wizerunku, równie ważną jak starannie ogoloną głowę, są szerokie uśmiechy – zawsze mają je na twarzach. Twierdzą, że jeżeli nie są w stanie się uśmiechać, nie ruszają do akcji i zostają w domu. Z czego się cieszą? Oczywiście, każdy by się śmiał na ich miejscu: świat sztuki kocha je za to tylko, że po prostu są. Ale istnieją także inne powody do radości. EVA i ADELE twierdzą, że przybywają z tej szczęśliwej przyszłości, w której tożsamość będzie prywatną własnością każdego człowieka. W tej szczęśliwej przyszłości każdy będzie mógł być, kim chce, a nie tym, za kogo uważają go państwo, proboszcz, nauczyciel i sąsiedzi. Dla Ewy i ADELE ta przyszłość jest już teraz.

EVA & ADELE, „Artysta = dzieło sztuki”, MOCOK, Kraków, do 29 kwietnia, www.mocak.pl

## KRZYŻÓWKA NR 8

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązane.



### POZIOMO:

- TRZĘSIE CAŁYM MIASTEM
- GAD?
- STARA PAŁA
- POSPOLITE RUSZENIE
- PRZESZEDŁ DO LEGENDY

- NAJWYŻSZE STANOWISKO
- Z ZAGRANICY
- OPUSZCZA BĄNKI
- NADGROBEK
- MA NA KAŻDEGO HAKA

### PIONOWO:

- NIE MAJĄ STÓP
- BEZ NIEGO WSZYSTKO JEST BEZ SENSU
- POTASUJ ROZDAJ
- CZTERY MNIEJ
- SZMATY CZASU
- WIELKI U KRÓLA
- ROŚNIE NA KRZYŻ
- KROPA NAD I
- DOM NIEZŁY
- DOLA Z POLA

Nagrodą w tym tygodniu jest książka George’a R.R. Martina „Taniec ze smokami część II” (www.zysk.com.pl)



Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij sms o treści PRZEKROJ.HASLO.KRZYWOKWI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 8”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 19 lutego 2012 r. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

## ROZWIĄZANIA Z NR 6

### Krzyżówka: KOMINIARKA

- POZIOMO:
- POD WARSZAWĄ – PODNOŚNIK
  - ISKAM OD TYŁU – MAKSI
  - OCIEC CÓRKI RYBAKA – MAZUR
  - ŁĘSOWA – NUTA
  - POLSKA TARTA KORZENNA – CÍWKŁA
  - WIE, GDZIE PIEPRZ ROŚNIE – TCHÓRZ
  - LEKCJA PO LEKCJI – PLAN
  - KRÓTKA W RZECZPOSPOLITEJ – NOTKA
  - CHATKA WUJKA TOMKA – DOMEK
  - PRZEZ ŻÓŁĄDEK DO SERCA – LEKARSTWO

- PIONOWO:
- ZŁOTY ŚRODEK – DUKAT
  - ANIE ŚWIATA MARCO POLO – OPIS
  - Z UST KOLEGÓW – NAMOWA
  - PODCINA NÓŻKI – KOZIK
  - COŚ ZA ZĄBEK – HERBATNIK
  - NUDA NA TONY – MONOTONIA
  - KRYK MŁODYCH – WRZASK
  - PARIS HILTON – HOTEL
  - SŁOWO NA NIEDZIELĘ – LIMIT
  - POT W BUTACH – ODÓR

### LAUREACI Z NR 5

Janina Błońska, Wrocław; Rafał Butrym, Tarnowskie Góry; Sławomir Jędrzejczyk, Łódź; Alicja Kaczmarzyk, Radom; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Włodzimierz Kubiak, Łask; Agnieszka Łukomska-Dulaj, Łódź; Maria Płachtyka-Mucka, Szczurowa; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa; Jan Zaleski, Łódź

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów albo usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgadania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

Zapraszamy do udziału w konferencjach:

# Unified Communications

- jak zintegrowana komunikacja wpływa na efektywność prowadzonego biznesu?



28 lutego 2012 r. - Warszawa

Partnerzy Merytoryczni:

Patroni Medialni:

KONFERENCJA BEZPŁATNA DLA KWALIFIKOWANYCH UCZESTNIKÓW



## Energia z odpadów

Nowe inwestycje w gospodarce odpadami

29 lutego 2012 r., Warszawa

Organizator: RZECZPOSPOLITA

Partnerzy Merytoryczni: Fisia Babcock Environment, Fortum

Patronat Honorowy: MINISTERSTWO ŚRODOWISKA, AMBASADA Szwecji

Patroni Medialni: UWAŻAM RZE, PARKIET, energianews

Partner Główny: REMONDIS

KONFERENCJA BEZPŁATNA DLA KWALIFIKOWANYCH UCZESTNIKÓW

Zgłoszenia i szczegóły:  
[www.rp.pl/konferencje](http://www.rp.pl/konferencje)

# SZKOLENIA I KONFERENCJE

## luty - marzec 2012

- Kurs dla specjalistów ds. majątku trwałego**  
29 lutego - 3 marca 2012 r., Warszawa
- Czytanie sprawozdań finansowych i ocena finansowa kondycji podmiotu**  
29 lutego 2012 r., Warszawa
- Optymalizacja i ryzyka w obszarze VAT**  
1 marca 2012 r., Warszawa
- Przebiegowe zmiany w postępowaniu sądowym - nowelizacja k.p.c. z 16 września 2011 roku**  
1 marca 2012 r., Warszawa
- Finanse dla niefinansistów**  
5-6 marca 2012 r., Warszawa
- Excel Personal Basic w modelowaniu finansowym - warsztaty komputerowe**  
6-7 marca 2012 r., Warszawa
- Ryzyko prawne w działalności instytucji finansowych - praktyczne aspekty**  
7 marca 2012 r., Warszawa
- Obligacje informacyjne - praktyczne aspekty statusu spółki publicznej (raportowanie, wezwania, squeeze out i reverse squeeze out, delisting)**  
9 marca 2012 r., Warszawa
- Optymalizacja podatkowa przy wykorzystaniu spółki komandytowej, spółki komandytowo-akcyjnej, funduszu inwestycyjnego oraz podmiotów zagranicznych**  
20 marca 2012 r., Warszawa
- HR 2012 r. Trendy, wyzwania i innowacje na rynku pracy\***  
23 marca 2012 r., Warszawa
- Oceń efektywności inwestycji - warsztaty komputerowe**  
26-27 marca 2012 r., Warszawa
- Rewolucja na rynku nieruchomości - obowiązki wynikające z ustawy o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego - II edycja**  
27 marca 2012 r., Warszawa
- Kompendium praktycznej windykacji - efektywne wdrożenie procedur windykacyjnych przez wierzyciela (stan prawny na rok 2012)**  
28-29 marca 2012 r., Warszawa
- MSR/MSSF jako źródło wiedzy współczesnego praktyka rachunkowości - KURS**  
29 marca - 3 kwietnia 2012 r., Warszawa

\*Uczestnictwo bezpłatne dla kwalifikowanej publiczności

Kontakt: tel. (22) 46 30 069, 46 30 609



RACZKOWSKI NA KONIEC

### RETROSPEKCJA NIE TAK: JAN KOZA

**PROSIVNIE POWTARZAĆ**

Najlepiej dowiedzieć się na to, że do Ameryki można pojechać nie mając ani dolara, jest niejaki Krzysztof Kolumb.

Przerobił z 21 lutego 1992 r.

PIĘTA SŁABO SIĘ SPRZEDAJE. TWOJA ŚMIERĆ MÓGŁABY POMÓC

**MYŚLNIK KRZYSZTOFA BILICY**

**Wolna wola spełniona jest popełniami.**

Archiwalne numery Przeglądu można (a nawet powinno) sobie przeczytać na [www.przegląd.pl](http://www.przegląd.pl) oraz w aplikacji "Przegląd" na iPadzie dostępne w App Store

**KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA**

### Big Love

[czyli romanse bez happy endu]

Występują: ZABACIA oraz MISIACZEK - kochankowie u progu XXI w.

**MISIACZEK** (dyszcząc namiętnie): Zrobię dla ciebie wszystko, Zabciu.

**ZABACIA** (rozkosznie szczebiocząc): Tak? Misiu, a zrobiłbyś tak, żeby mi na komórkę przesyłał wreszcie przychodzić te SMS-y, że wygram BMW i sto tysięcy? Co? Misiaczkę?

**MISIACZEK**: (przebieżając dyszcąc, zagryzając język, wychodzi po papierosy i nigdy nie wraca) KURTNA opada z zaniem.

## Coś do czytania dla analfabetów?



LEWO MYŚLNIK

A może coś do chlapięcia dla abstynentów?  
A może jakieś mięcho dla wegetarian?  
A może czołg dla rowerzystów?

Propozycje nowych produktów i usług mnożą się wprost proporcjonalnie do zmiany znaczenia słów. No bo kto to jest czytelnik albo czytelniczka? Dawnie panowało bolesne i pełne nieporozumień przekonanie, że to ktoś lub ktośia, którzy czytają. Co to znaczy czytają? To znaczy, że siedząc, stojąc lub leżąc, wisząc, idąc lub zalegając w dowolnej formie, gdziekolwiek, o jakiejkolwiek porze przed sobą jakąś formę tekstu w jakiejś formie udostępnienia i podążając wzrokiem oraz umyślnie za literami, które układają się w słowa, które to tworzą zdania, które tworzą to takie czy inne teksty. Krótkie, długie, średnie, obszerne, kuse, zacytuowane, przygotowane do druku lub swobodnie, groźnie, wyrażające. I to jest czynność, której sens oraz tajemnicza grupa podziela, którą praktykuje, bawi się nią, inspiruje, wkurza i nie może przestać.

Są, one i oni, gotowi przeczynać na taką czynność czas i pieniądze, przedkładając nad nią inne czynności. Dzisiaj jesteśmy po doświadczeniu hekatombi przyniesionej przez radio, Holocaustu przez film, zagłady dzięki telewizji. Obraz. Obrazy. Sekwencje obrazów. Ruch. Pęd. Szybkość. Zmiana. Tempo. Nagle. Już i po wszystkim. I już się nic nie ukazuje. Nie pojawia. Działają wyskakują. Okienko. Reklama. Bach, bach po głowie, łups, łups po oczach. Czy tekst jeszcze istnieje? Według wielu - już nie. Ale na starym przyzwyczajeniu da się jeszcze zarobić. Dlatego należy przygotowywać produkty tekstopodobne. Pod pozorem udostępniania słów i treści de facto uciekać oraz abstrahować od treści i słów. Udawać tekst. Działaj nie chęć i nie umiejęć czytać, ale chęć to udawać. Więc rób gazetę, pismo, tekst, książkę, żeby przypadkiem nie była do czytania. Więc krótko, węzłowato. Najważniejsze jest opakowanie. Niech się przetrzuca strony, patrzy, wręca się w tytuł. W początek. Niech nie piszą ci, którzy wiedzą, o czym piszą. Niech piszą ci, którzy wiedzą, jak się tak pisze, żeby tekst jak najlepiej sprawiał wrażenie tekstu.

Tylko atrapa się sprzedaje. Bo jesteśmy wszyscy analfabetami, jeno odważy brak, żeby się przyznać.



zoom-zoom  
zoom-zoom  
DZIEŁA SZTUKI  
JAPONSKIEJ  
WYPRZEDAŻ KOLEKCJI 2011



Mazda 3



Mazda 6



Mazda CX-7

Skorzystaj z wyjątkowej oferty finansowej oraz rabatów na zakup modeli z roku produkcji 2011. Wyprzedź innych i zostań koneserem niepowtarzalnej japońskiej sztuki użytkowej. Czekają na Ciebie Mazda 2, Mazda 3, Mazda 5, Mazda 6, Mazda CX-7 oraz Mazda MX-5. Takiej oferty jeszcze nie było. Zapraszamy do salonów! Sprawdź japońską niezawodność podczas jazdy testowej.

Zużycie paliwa w cyklu mieszanym oraz emisja CO<sub>2</sub> wynoszą odpowiednio w zależności od modelu i wersji: Mazda 3 od 4,3 do 7,6 l/100km, od 115 do 175 g/km. Mazda 6 od 5,2 do 8,1 l/100km, od 138 do 188 g/km. Mazda CX-7 od 7,5 do 10,4 l/100km, od 199 do 243 g/km.